

TYGODNIK LITERACKI

Nr 8 ■ Rok I ■ 11 LISTOPADA 1990

ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

w numerze: **ANDRZEJEWSKI □ BUREK □ FROST □ MIŁOSZ**
oraz: **CZERWIŃSKA, KUNZE, OSEKA, RUTKOWSKI, SZYMAŃSKA, TOMCZYK, WANIEK, ZIELIŃSKA**

Jiří Kolář

Rada dla slugusów

Thumaczyliście zbrodnie i wysławiali zdradę?
Zwalcie to na partię
Milczeliście, kiedy nawet trawa krzyczała?
Zwalcie to na partię
Pisaliście, kiedy nawet atrament się rumienił?
Zwalcie to na partię
Wierzyliście, kiedy nawet północ nie wierzyła własnym oczom?
Zwalcie to na partię
Byliście zawsze u koryta?
Zwalcie to na partię
Mielście zabijanych za wióry przy drew rąbaniu?
Zwalcie to na partię
Tarzaliście się w błocie, kiedy nawet kurwom skurcz zaciskał sromy?
Zwalcie to na partię
Szūżyliście, kiedy nawet suki kulily się drzące?
Zwalcie to na partię
Płaszczeliście się, wykręcali kota, miody mieli w ustach?
Zwalcie to na partię
Przyjmowaliście hołdy, kiedy nawet kamień spluwał?
Zwalcie to na partię
Wydawaliście wyroki, kiedy nawet sznur wstydił się za stryczek?
Zwalcie to na partię
Szczekaliście, kiedy zniżał głos nawet ostatni burek?
Zwalcie to na partię
Donosiliście, kiedy nawet szpicle mówili o brudzie?
Zwalcie to na partię
Macie ręce całe we krwi?
Zwalcie to na partię
Lizaliście stopy i igały, grabiliście i żarli?
Zwalcie to na partię
Nie słyszeliście nawet tego, o czym wróble ćwierkały?
Zwalcie to na partię
Zmuszaliście do szeptu nawet dzieci?
Zwalcie to na partię
Deptaliście związanych?
Zwalcie to na partię
Płuliście na umarłych?
Zwalcie to na partię
Upijaliście się łzami innych, potem innych?
Zwalcie to na partię
Wszystko, wszystko, wszystko zwalcie na partię, muzycanci nocy
Zwalcie na partię

(1968 r.)

przełożył Leszek Engelking

W czterdziestym ósmym numerze „Kultury Niezależnej”, a więc już dosyć dawno temu, przeczytałem szkic Jana Walca poświęcony definitywnemu zdemaskowaniu Jarosława Iwaszkiewicza. Tak mnie wówczas ten tekst poruszył, że napisałem parę stron uwag polemicznych. Później natknąłem się na następne szkice Walca, rozprawiające się w analogiczny sposób z innymi autorami, ale jakoś najpierw zabrakło mi odwagi, żeby zaatakować mojego ulubionego swego czasu bohatera opozycji, a potem życie polityczne nabrało takiego rozpędu, że w ogóle zapom-

demokrację i wolność byłych reżimów. Jednakże stworzenie tak drastycznie ograniczonej perspektywy interpretacyjnej, jaką zaprezentował Walc, wydaje mi się doprawdy szatańskim zwycięstwem ustroju pokonanego z takim oddaniem, poświęceniem i pokorą.

Sądzę również, że ten typ moralizmu, czy to katolickiego, czy protestanckiego, ma niewiele wspólnego z prawdziwie ewangelicznym duchem chrześcijaństwa. Dlatego też te uwagi o jednym ze szkiców Walca, analizujące sposób myślenia krytyka, wydały mi się dziś szczególnie aktualne.

Ireneusz Krzemiński

Kto następny czyli czystka niezależna

O szkicu Jana Walca „Mefisto z kwiatem glicynii”

niałem o tej sprawie. Teraz jednak postanowiłem opublikować krytyczne uwagi o stylu krytyki Jana Walca, gdyż wydaje mi się, iż ów styl jest symptomem ogólniejszego zjawiska umysłowego a zarazem politycznego. Najogólniej nazwałbym je „myśleniem ideologicznym”, które oto – jak się okazuje – pod postacią **swoistego moralizmu** wdarło się w „nasze szeregi”: niedawnych obrońców wolności, swobody mówienia i działania, piewców demokracji i moralności, opartej na rozumieniu człowieka i wzajemnym poszanowaniu. Ten ideologiczny moralizm, krzepiący się ideałami chrześcijańsko-narodowymi (sic!) nie ogranicza się do anachronicznej tradycji Polaka-katolika. Narodowo ugruntowana niechęć do „czerwonego” niespodziewanie okazuje się być także niechęcią do każdego rodzaju odmieńców.

Nie jestem zwolennikiem oportunistów i dziś jest mi trudno przyjąć, bez niepokojącej domieszki „złych uczuć”, rzetelną postawę wobec różnych „nawróconych” na

2.

Zawsze uważałem Jana Walca za tego „człowieka opozycji”, który szczególnie jest odporny na panujące „klimaty” i obowiązujące w środowiskach dysydenckich „kałki myślowe”. Zatem zwycięstwo **myślenia ideologicznego** w jego sposobie rozumowania jest czymś, co nabiera dla mnie szczególnego znaczenia. Potwierdza bowiem tezę, którą sformułowałem już jakiś czas temu, że w Polsce nastąpiło zwycięstwo „myślenia ideologicznego”. To znaczy, że świat jest oceniany z punktu widzenia „moralnych dogmatów”, które przynależą, rzecz jasna, „nam” i mamy nieskrępowane prawo w ich imię ferować wyroki.

Kryterium rozstrzygającym jest kwestia **przynależności**: czy oceniany należy do „swoich”, czy też „wysługuje się” bądź jak w przypadku Iwaszkiewicza – „wysługiwał się” ideologiczno-politycznemu przeciwnikowi. Oto moje argumenty.

dokończenie na s. 8

twarz tygodnia

byla zczowata. Takim wyrazem zwykle się określa chorobę zwaną rozbieżnością zrenic. Schorzenie to może być wrodzone lub nabyte. Nabyć je można albo od złe dobranych szkieł, albo od oglądania w TV kandydatów na urząd prezydencki. Od poniedziałku rozpoczęło się telewizyjne zabieganie o głosy wyborców, kandydaci przedstawiają swe programy.

Słowo program ma dwa znaczenia. Z jednej strony pojęciem tym określamy wskazywanie przez polityków celów i służących ich realizacji środków. Takie rozumienie zostało przez wszystkich kandydatów odrzucone jako niefilmogeniczne. I bardzo słusznie. Z drugiej strony tak nazywamy aktorską prezentację, czyli – z angielska – show. I wszyscy kandydaci produkują nam show. Robią to jednak bez rozmachu, bez bogatej – jak to niegdyś mówiono – wystawy. A przecież ten genre ma swoją tradycję, swoje wypróbowane sposoby. Zawsze dobre rezultaty daje umieszczenie w tle podświetlonych schodów, po których wstępują (lub zstępują) dorodne panny. Powinny być one ubrane skąpo ale nie skromnie i mieć strusie pióra wetknięte we włosy i inne części doczesnej powłoki. Rezultaty gorsze, jednak zadowolające, można osiągnąć ustawiając w tle duet ekscentrycznych żonglerów lub trio ekwilibrystów – monocyklistów. Zresztą sposobów jest mnóstwo i pierwszy lepszy fachman od show business'u będzie nimi sypał jak z rękawa.

Kiedy nastąpi elekcja prezydencka będzie to głosowanie głosami. W latach osiemdziesiątych w okolicach 1 maja mówiło się o głosowaniu nogami. Można też głosować lampkami. Przykład takiej procedury daje „Gazeta świąteczna” (4.11.) w artykule „Pamięć podrożała”. Cyfry w nawiasach podają lampkowania zeszłoroczne: Władysław Gomułka – 10(41), Karol Świerczewski – 11(35), Bolesław Bierut – 6(34), Józef Cyrankiewicz – 7(16), Julian Marchlewski – 1(13), Edward Rydz-Śmigły – ok. 300(ok. 700), Michał Rola-Zymierski – 5(79), Marian Spychalski – 9(20), Julian Tuwim – 75(ok. 120), Maria Dąbrowska – 29(61), Leopold Staff – 29(56), Władysław St. Reymont – 8(44), Władysław Broniewski – 16(27), Jan Kiepura – 39(83), Tadeusz Fijewski – 22(58), Mieczysława Ćwiklińska – 11(22) Jadwiga Smosarska – 7(14). Powiedzą fachowcy, że to badania niedokładne, że trzeba mierzyć siłę światła w luxach. Słusznie, bo jak tu porównywać trójknutowy znicz o średnicy 20 cm do małej lampki. Jednak i taki pomiar daje wyobrażenie o ludzkich preferencjach, wyborach.

Ludzkim wyborem trzeba pomagać. Witold Pawłowski na łamach „Polityki” w artykule „Sztuka farbowania lisów” przedstawia sylwetkę Harveya Thomasa, specjalisty od budowania image brytyjskiej partii konserwatywnej. „Polityka jest jak każdy inny towar: pasta do zębów, płatki owsiane czy nowy model samochodu. I podobne obowiązują tu zasady promocji rynkowej.” Szkoda, że „Polityka” nie udostępniła tego adresu nieco wcześniej. Może nasi pretendenci, czegoś by się nauczyli. Bo chwilowo poziom ich wystąpień jest lekko żenujący. Najlepszym jak dotąd expose było to, które miał Premier w dniu 1 listopada.

EIZIONOMISTA

Staromiejski Dom Kultury zaprasza do udziału w warsztatach literackich, które rozpoczynają się w grudniu br. Organizatorzy serdecznie zapraszają młodych poetów, prozaików, dramaturgów i eseistów urodzonych po roku 1964. Warsztaty poprowadzą znani pisarze i krytycy literacy. Teksty można nadsyłać na adres: Staromiejski Dom Kultury, Rynek Starego Miasta 2 00-272, z dopiskiem „Warsztaty literackie”. Termin nadsyłania prac upływa 30XI1990. Zajęcia będą odpłatne.

■ W Białej Podlaskiej odbyła się Biesiada Literacka *Pogranicze '90*. Tematem spotkań były polsko-białoruskie związki literackie. Jeden z wieczorów poświęcono życiu i twórczości emigracyjnego poety Wacława Iwaniuka. Efektem spotkań było ustalenie współpracy środowisk twórczych województw wschodniej Polski i przystąpienie do zorganizowania ugrupowania literackiego *Pogranicze*. ■ 13XI o godzinie 10.00 Węgierski Instytut Kultury zaprasza na konferencję oraz wystawę poświęconą historii teatru i dramatu węgierskiego. ■ W październiku, w Ratuszu Saint-Gilles w Brukseli miała miejsce wystawa *Pologne '90*. Trzydziestu autorów, malarstwo i rzeźba czyli współczesna plastyka polska. (Dominowały nazwiska znane ze zorganizowanego przed dwu lata *Arsenalu*.) Efektem wystawy jest planowane na listopad otwarcie w Brukseli galerii, która prezentować będzie współczesną sztukę polską. *Chapeaux bas!* ■ „Fotografia to w gruncie rzeczy nic innego jak ukradkowe zagłębienie do lustra”. Jeżeli ktoś chce się przekonać, czy Lucjan Demidowski ma rację, nie pozostaje mu nic innego jak wybrać się na wystawę artysty, która jest ekspozycją do końca listopada w Małej Galerii (Plac Zamkowy 8). ■ Galeria Dziekanka – ciągle zamknięta. ■ 6XI upłynęło 40 lat od pierwszego publicznego koncertu zespołu *Mazowsze*. W związku z tym 3 i 4XI odbyły się

przegląd kulturalny

jubileuszowe koncerty w Sali Kongresowej w Warszawie. Wspomnienia. ■ 23 i 28XI w Théâtre de la Bastille oglądać można było *Krapp's last tape (Ostatnie taśma)* Samuela Becketta w reżyserii Antoniego Libery z Davidem Warrilow'em. Przedstawienie w wersji angielskiej pokazywane było w ramach *Festival d'Automne (Festiwal Jesieni)* trwającego od września do stycznia w Paryżu. Po prezentacji w Paryżu spektakl został zakupiony do Hagi i Antwerpii. Pozostaje pozazdrościć Liberze sukcesu a Francuzom długiej jesieni. W ciągu kilku dni października na scenie warszawskiej PWST prezentowany był spektakl *Fredraszki* w reżyserii Jana Englerta (*Dożywcie, Zemsta, Pan Jowialski, Mąż i żona*), a jest ono „warsztatem dyplomowym” IV roku Wydziału Aktorskiego. Wdzięczne. ■ W dniach 6 i 7XI wystąpi gościnnie na scenie dużej Teatru Wielkiego zespół baletowy ze Stanów Zjednoczonych *Hubbard Street Dance Company*. Zespół szesnastu tancerzy prezentuje różne style amerykańskiego tańca, łącznie z jazzem i stepowaniem. ■ Krzysztof Kieślowski otrzymał nagrodę Brytyjskiego Instytutu Filmowego za wybitne wartości dla kultury „ruchomego obrazu”. Autor *Dekalogu* znalazł się wśród takich gwiazd kina jak: Lawrence Olivier, Orson Welles, Dirk Bogart, Akira Kurosawa, Darek Jarman. ■ Kino Akademii Ruchu zorganizowało przegląd dokumentalnych

i fabularnych filmów Magdaleny i Piotra Łazarkiewiczów. ///Objawienie??? – absolutną rewelacją wśród miernoty królującej na naszych ekranach jest film *Młody Einstein*, zrobiony z ogromnym poczuciem humoru, sprawnie i z rozmachem. Dwie godziny doskonalej zabawy. ■ W Tarnowie w ramach X Tygodnia Talentów swoje możliwości wykonawcze prezentują laureaci ostatnich krajowych festiwałów i konkursów muzycznych. Od 4 do 11XI w tarnowskim Ratuszu, w bazylice katedralnej i dworku w Kąsnej krytycy muzycy, dyrektorzy filharmonii i szefowie orkiestr mają możliwość obejrzeć i wybrać najlepszych młodych instrumentalistów z całego kraju. ■ W galerii ASP w Krakowie do 6XI trwała wystawa prac Józefa Żabkowskiego (profesor malarstwa tej uczelni). Jego *Rysobrazy* to cykl siedemnastu barwnych akryli, na których artysta cienką kreską tworzy dynamiczny rysunek. ■ Po Warszawie, Gdyni i Toruniu dotarła do Krakowa zorganizowana przez British Council wystawa obrazująca (dość skromnie) *Trzy drogi angielskiego malarstwa współczesnego*. Ekspozycja w BWA czynna do końca listopada. ■ W tym roku 35 Krakowskie Zaduszki Jazzowe oddaliły się od warszawskiego festiwału nie tylko czasem ale i zestawem wykonawców. 12 i 13XI w sali kina *Uciecha* wystąpią krakowskie lub związane z środowiskiem krakowskim grupy jazzowe, między innymi: Jazz Band, Jarosław Śmietana, Ryszard Styła trio, Janusz Muniak, oraz jedyny zespół zagraniczny Open Art Band z Austrii. ■ Na scenie operetkowej zespół Opery krakowskiej przygotował *Paganiniego* Franza Lehara w reżyserii i choreografii pracującego na stałe w Salsburgu Erica Joe Pfluegera. Wkrótce po premierze (4XI) krakowska Opera wyjeżdża z przedstawieniem do RFN. ■ Bestsellerów nie ma!

M.M

artykuł polityczny

Homilia na rozwiązanie

Niekiedy łatwiejszy do przyjęcia bywa cud niż zwyczajność. Pośród wielu ewangelicznych przemilczeń jest i takie: co stało się z Łazarzem, kiedy zamilkły fanfary obwieszczające powstanie z martwych, a napoczęte przez czerwie ciało wróciło do powszedniego życia? Autorów *Dobrej Nowiny* zupełnie to nie interesuje, bowiem wskrzeszenie Łazarza traktuje interesownie – jako znak rychłego tryumfu swego Pana nad śmiercią. Na dodatek bezinteresowność wyobraźni wzdraga się przed zapuszczaniem w te rejony życia po życiu i beznadziei wtórej śmierci. Łazarz jeszcze sobie trochę pożył, żeby Jezus mógł zostać Chrystusem Królem. Tylko jakie mogło to być życie i jak wyglądała mowa pogrzebowa nad ciałem zmarłego – teraz już naprawdę a nie na trochę – Łazarza?

Powiedzieć, że Adam Michnik uderzył w biblijny ton – to mało. Najmniej ważne jest w jego tekście to, co zawiera się w tytule – dlaczego nie będzie głosował na Lecha Wałęsę. To proste. Na cudy gospodarze ani Polska nie jest odpowiednim miejscem, ani czas, teraz po temu – innego cudu faknie lud jak bedliki jarmużu. Lech taki cud zapewni, przecież

już dawno, podczas jednej z zagranicznych wizyt powiedział, że przybywa jeden, ale we trzech osobach. Niedowiarek Michnik (wiadomo, lewica laicka!) nie jest w stanie dostrzec sfery numinosa; choć podobno, niczym niewierny Tomasz, klęczał przed Przewodniczącym, skończyło się na tym, że teraz wytyka go palicem. Jak Gombrowiczowski Pijak nie chce dopuścić, aby Lechu samemu sobie ślubu udzielał w kościele ludzkim. Na szczęście wybory będą się odbywały już w adwencie.

W istocie Adam Michnik wygłosił mowę nad grobem „Solidarności”. Bo – jego zdaniem – w chwili, gdy ze związku zawodowego przeobraziła się w maszynkę wyborczą Przewodniczącego, w niewiele ponad rok po zmartwychwstaniu następuje jej śmierć wtóra, a na dodatek podwójna. „Solidarności” jako związku zawodowego i solidarności jako mitu. Jej ponowna legalizacja w obecnej perspektywie wydaje się tylko znakiem mającego niebawem nastąpić tryumfu Przewodniczącego nad komunistyczno-mazowiecką zarazą. Ot, pożyła sobie jeszcze trochę, jak Łazarz...

Kiedy Michnik za „Solidarności” wędził w więzieniu, czytywał Herberta. Także *Próbe rozwiązania mitologii*

Bogowie zebrali się w baraku na przedmieściu. Zeus mówił jak zwykle długo i nudnie. Wniosek końcowy: organizację trzeba rozwiązać, dość bezsensownej konspiracji, należy wejść w to racjonalne społeczeństwo i jakoś przeżyć. Atena chlipała w kącie. [...]

Wracali do miasta późnym wieczorem, z fałszywymi dokumentami w kieszeni i garścią miedzaków. Kiedy przechodzili przez most Hermes skoczył do rzeki. Widzieli, jak tonął, ale nikt go nie ratował.

Zdania były podzielone: czy był to zły, czy przeciwnie, dobry znak. W każdym razie, był to punkt wyjścia do czegoś nowego, niejasnego.

Wówczas Michnik opatrzył ten utwór komentarzem, z którego wynikało, że jest to napisana językiem ezopowym opowieść o losach AKowskiego oddziału w powojennej rzeczywistości. Dzięki temu zwyczajność i nijakość tej historii nabierała spizowanych tonów. Ciekawym, jaki byłby ten komentarz dziś, gdy bogowie zbierają się nie w baraku na przedmieściu, ale w Gdańsku i robią wśród siebie czystkę, aby wylonić najlepszego, którym, co z góry wiadomo, jest siekirowładny Przewodniczący?

Rozwiązanie mitologii to również rozwiązanie języków i rąk. W każdym razie jest to punkt wyjścia do czegoś nowego, niejasnego. Na przykład – do zwyczajności, choć niejedyn jeszcze Hermes (zawsze obsadzałem w tej roli Michnika, może dlatego, że umie pływać) skoczył do rzeki.

Ponieważ opowiadam się po stronie zwyczajności a nie cudu, też nie będę głosował na Lecha Wałęsę. Paradoxem sytuacji jest to, że aby wierzyć w zwycięstwo zwyczajności, trzeba liczyć na cud.

Tadeusz Komendant

Robert Frost (1874–1963)

Robert Lee Frost urodził się 26 marca 1874 w San Francisco. Po śmierci ojca (1884) powrócił z matką do Nowej Anglii, rodzinnej okolicy jego przodków. Ukończył szkołę średnią w Lawrence (Massachusetts), w 1892 wstąpił do Dartmouth College, po pierwszym semestrze przerwał studia, zarabiał na życie kolejno jako młynarz w Lawrence, nauczyciel łaciny, niefortunny wydawca czasopism. Jego pierwsze wiersze ukazały się w „The Independent”, ale nie miał szczęścia do redaktorów: z reguły odsyłano mu wiersze, również te, które szeroko są dziś znane. W ciągu dwudziestu lat, aż do chwili, gdy zwrócił na siebie uwagę Pounda, heroicznie kontynuował twórczość, jakiej nikt nie chciał przedstawić czytelnikom.

W 1897, w trzy lata po małżeństwie, przeniósł się z rodziną do Cambridge (Massachusetts) z zamiarem ukończenia filologii klasycznej na Uniwersytecie Harvardzkim. Studiował w latach 1897–1899, rozpoczął później prace nauczycielskie i dziennikarskie, nabył farmę w Derry (New Hampshire) i po kolejnym dziesięcioleciu niekończących się odmów, z jakimi spotykał się w czasopiśmie i domach wydawniczych, pożegłował wreszcie do Anglii.

I tam właśnie Pound, autor recenzji w „Poetry”, z miejsca dostrzegł w wierszach Frosta to wszystko, co należy dziś do niemal kanonicznego ich opisu: naturalną konwersacyjność, prawdziwą i prze-

rzystą rzeczowość, horacjańską tonację, klasyczną grę zmysłowej obserwacji i korygującej refleksji. Dwa wydane w Anglii tomy Frosta, *A Boy's Will* (1913) i *North of Boston* (1914), spotkały się ze znakomitym przyjęciem i krytyka uznała go wreszcie za jeden z autentycznych głosów poezji współczesnej. Powrócił do Stanów w 1915 jako autor otoczony rosnącą sławą. Z biegiem lat stał się uznanym bardem Nowej Anglii – ziemi rodzinnej – „bukolicznym poetą, roztropnym obywatelem, subtelnym malarzem krajobrazów i półcieni”, obok Carla Sandburga najpopularniejszym poetą amerykańskim starszego pokolenia. Dostrzeżono jego pokrewieństwo z Longfellowem, Emersonem i Whitmanem. Był kolejno profesorem w Amherst College, poetą-rezydentem Harvard University, czterokrotnym laureatem nagrody Pulitzera (1924, 1931, 1937, 1943).

Wśród tomów poezji wymieńmy *Mountain Interval* (1916), *New Hampshire* (1923), *West-Running Book* (1928), *A Witness Tree* (1924), *A Masque of Reason* (1945), *A Masque of Mercy* (1947), *A Road Not Taken* (1951), *All We Call American* (1958), *In the Clearing* (1962).

W Polsce wiersze Frosta tłumaczyli: Władysław Dulęba, Leszek Elektowicz, Zygmunt Haupt, Stanisław Helsztyński, Aleksander Janta, Allan Kosko, Ludmiła Marjańska, Artur Międzyrzeczki, Jan Prokop, Tadeusz Rybowski, Marek Skwarnicki, Michał Sprusiński, Juliusz Żulawski.

Wiersze Roberta Frosta, w wyborze i ze słowem wstępnym Leszka Elektowicza, ukazały się w Warszawie w 1972 roku.

JH i AM

Julia Hartwig
Artur Międzyrzeczki

Nasza antologia poezji amerykańskiej (3)

Frost

Chciałem by ptak się rozstał z nami

Chciałem by ptak się rozstał z nami
I przestał śpiewać pod oknami.

Klasnąłem w ręce by go spłoszyć,
Gdy tego śpiewu miałem dosyć.

Mojej w tym winy było wiele.
Nie hańbią ptaka jego trele.

I jakaś rzecz się kryje zdrożna
W tym, że śpiewania znieść nie można.

przełożył Artur Międzyrzeczki

przełożył Artur Międzyrzeczki

Przystając wieczorem w śnieżnym lesie

Wiem kto w tych lasach gospodarzy.
W mieście ma dom – nie zauważy,
Że się w dąbrowie ktoś zatrzyma
By śnieżne chłonać krajobrazy.

Mój konik się na postój zżyma
Nad stawem, który skuła zima.
Dzień z czarną nocą się przesila
Wśród drzew, gdzie żadnej farmy nie ma.

Podzwania janczarami chwilę
Pytając mnie, czy się nie mylę.
Niosą się dzwonki jego jasne
Z szelestem wiatru w śnieżnym pyłe.

Lasy są piękne i przepastne,
Lecz przeżyć muszę życie własne
I wiele minąć mil – nim zasnę,
I wiele minąć mil – nim zasnę.

Potrzeba znania się na wiejskich sprawach

Dom musiał wtedy płonąć, jakby chciał przypomnieć,
Nocnemu niebu jego łunę o zachodzie.
Jak słupek kwiatu o opadłych płatkach,
Sam komin został w zdziczałym ogrodzie.

Stodoła naprzeciwko – która razem z domem
Byłaby znikła w kłębach jednego płomienia,
Gdyby taki był kaprys wiatru – ocalała,
Dając bezludziu prawo do imienia.

Dziś już nie otwierała wrót na przywitanie
Fur, które – w kurzu i dudnieniu kopyt
Wjeżdżając z kamienistej drogi na klepisko –
Zwalały świeżo z pola przywiezione snopy.

Gnieźdzące się w stodole ptaki w obie strony
Przefruwały swobodnie przez wybite szyby,
A szum ich skrzydeł brzmiał jak to westchnienie,
Gdy się zbyt długo duma, co by było, gdyby.

A jednak dla nich bez wypuszczał liście
I, chociaż osmalony, stary więz zieleniał,
I wyschła pompa krzywo wyrzucała ramię,
I rdzewiał drut łączący słupki ogrodzenia.

Dla nich – nic w tym nie było smutnego. Lecz nawet
Widząc tę całą ptasią wokół gniazda pracę,
Trzeba się było znać na wiejskich sprawach,
Aby nie wierzyć w to, że lelek płacze.

przełożył Stanisław Barańczak

Jeziorka Wiosenne

Jeziorka, ogrom nieba bez większych usterek
Odbijające rzędem śródleśnych lusterek
I, jak kwiaty na brzegu, drżące z chłodu lekko –
Jak te kwiaty, znikniecie już wkrótce ze świata,
Lecz nie w dal uniesione strumieniem czy rzeką:
Raczej wzwyż, w korzeń, pień i cienisty liść lata.

Drzewa, w waszych stulonych pąkach jeszcze drzemie
Mrok, którym letnie lasy wnet okryją ziemię:
Nie śpieszcie się, wstrzymajcie chwilę ciemne głody.
Zanim wchłoną, wypiją, zniszczą bezpowrotnie
Wszystkie te wodne kwiaty, wszystkie kwietne wody
Ze śniegu, który ledwie wczoraj zdążył stopnieć.

przełożył Stanisław Barańczak

Ofiara bez reszty

Ten kraj należał do nas wcześniej niż my do niego.
Był naszym krajem dłużej niż sto lat
Nim staliśmy się jego ludem. Należał do nas
W Massachusetts, w Wirginii,
Ale byliśmy ciągle angielską kolonią,
Mieliśmy to, co nie władało nami jeszcze,
Pod władzą tego, czegośmy nie mieli.
Z naszego wyrzeczenia wypływa słabość
Aż pojęliśmy wreszcie, że się wyrzekamy
Samych siebie wobec kraju, gdzie żyjemy,
I w poświęceniu ujraliśmy zbawienie.
Ofiarowaliśmy się wszyscy bez reszty
(Ofiarowizną były wojenne ofiary)
Temu krajowi, co mgliście nabierał kształtów na zachodzie,
Nie wyśpiewany jeszcze, nie wydźwignięty, bez własnej sztuki,
Takiemu, jaki był i jaki miał się stać.

przełożył Artur Międzyrzeczki

Pustkowie

Śnieg pada, noc zapada, śpiesznie, och, jak śpiesznie,
Nad polem, które minę, gdy całkiem się zmierzchnie,
I prawie całą ziemię gładko śnieg okrywa,
Tylko badyłe sterczą nad białą powierzchnię.
Bory dokoła mają na własność to rżysko.
Leśny zwierz śpi, zaszyty w ciepłe legowisko.
Zbyt nieobecny duchem, prawie się nie liczą;
Lecz samotność mnie włącza w swój krąg – mimo wszystko.
Jeśli w tej samotności cokolwiek się zmienia,
To tylko to, że więcej w niej osamotnienia:
narasta pusta białość bezwiednego śniegu,
Co nic nie mówi – nie ma nic do powiedzenia.
Nie straszcie mnie kosmosem, gdzie próżnia jałowa
Międzygwiezdnych przestrzeni – bez życia, bez słowa.
O wiele bliżej – w sobie – mam tego dość wiele,
By mnie straszły własne, prywatne pustkowie.

przełożył Stanisław Barańczak

Tomasz Burek

Dwie umysłowe orientacje, dwie szkoły, dwa rodzaje dyskursu, dwa style intelektualne współzawodniczą o prymat w polskiej myśli literackiej XX stulecia.

Ze względu na preferowane wartości i wyznawaną ideologię kulturalną można by jedną orientację nazwać prohelleniską lub romanizującą. Więzy powinowactwa duchowego łączą ją bowiem z „geniuszem Południa”, z jego pogodnym epikureizmem i harmonijnym światem wartości. Odwołując się do dziedzictwa humanizmu antycznego bądź też renesansowego czy oświeceniowego, i stawiając przed oczyma współczesnych kanony klasycznej kultury literackiej, zwolennicy owej orientacji

wane krytycznie książki stają się etapami w nie kończącej się nigdy podróży wewnętrznej „metafizycznych wędrowców”.

Taka szkoła czytania, medytowania i rozprawiania o literaturze, szkoła określonego gustu i sądu, miała już w dwudziestolecu widoczne punkty przecięcia z jakąś, jeszcze w pełni nie uświadomioną, postacią egzystencjalizmu w wersji chrześcijańskiej (według sformułowania Bronisława Mamonia w jego świetnym wstępie do *Uwag 1940-1942* Konińskiego). Szerzej rzecz ujmując: konfrontowała się z nowoczesnymi nurtami niepokoju filozoficzno-religijnego, z tradycjami pesymistycznego urzeczona problematyką zła we wszech-

czymś w rodzaju intymnie przetrawionych obsesji; wreszcie w stylu, w architektonice rozpraw i studiów, w gatunku pisarstwa – nieuchronnie fragmentarycznym, bo zmieniającym, poprzez kolejne „bruliony”, perspektywy i przybliżenia, do jakiejś idealnej całości. Do całości nie dającej się praktycznie urzeczywistnić.

Bywali autorzy jednej tylko wybitnej książki krytycznej, jak niegdyś Ostap Ortwin (*Próby przekrojów*), a w czasach nam bliższych Ludwik Flaszen (*Cyrograf*). Ale Blüth to przypadek szczególny. To autor jednocześnie kilku pasjonujących książek – nie napisanych albo utraconych. Ani jednej nie zdołał przed rokiem 1939 przysposobić ostatecznie do druku.

„Najpierw miał to być zbiór sylwetek rosyjskich konwertytów pierwszej połowy XIX w. Opublikował tylko wstęp oraz portrety Mikołaja Lunina, Włodzimierza Piecznerina i Zinaidy Wołkońskiej. Następna nosiła w projektach tytuł *Mickiewicz w Rosji*. Skończyło się na kilku luźno powiązanych szkicach, na które zresztą nie znalazł wydawcy. Napisanej w Paryżu opowieści biograficznej o polskiej młodoci Conrada – *Historia opuszczonego gniazda*

Swoje zaś odkrycia i rzadko spotykaną oryginalność zawdzięczała tej interpretacji przeniesieniu przez Blütha na grunt badań literackich „genialnej – mówiąc jego słowami – hipotezy mechanizmu życia podświadomego”. To umiejętne i nadzwyczaj trafne zetknięcie freudyizmu z ciemnym, wizjonerskim skrzydłem w romantyzmie polskim, subtelne zastosowanie kategorii i narzędzi badawczych psychoanalizy do rozświetlenia twórczości romantycznej – były czymś krytycznym dużej miary. I to pomimo dyskusyjnych, lecz przecież nieodosobnionych – jak miały pokazać dalsze dzieje freudyizmu – prób zmodyfikowania i rozszerzenia psychoanalizy „klinicznej” Freuda, na przykład o koncepcje Edwarda Abramowskiego, które to próby zmierzały do ograniczenia lub zupełnego wyrugowania z pierwotnej doktryny elementów materializmu biologicznego i przede wszystkim pansksualizmu; na pozór paradoksalne i jakoby z góry skazane na porażkę wysiłki „uchrześcijanienia” i „uwznioślenia” Freuda, z jakimi zdumiony czytelnik spotykał się w rozprawie Blütha, już nie dziwią po upływie półwiecza, przeciwnie, zdają się być utajonym w innej,

Rafał Marceli Blüth – lekcja dla potomnych

głoszą przede wszystkim „zasadę światła”. Postulują zatem odpowiedzialność za słowo, umiar i dyscyplinę w dziedzinie wszelkich przedsięwzięć intelektu, powściągnięcie kaprysów wybujałej nadzbyt fantazji. Gdy idzie o sztukę, formalną biegłość cenią strokoc bardziej niż natchnienie, a zdrowy sens i przystępność dzieła woła od tego wszystkiego, co w nim krańcowe i prowokujące. Naturalnie: ideę ciągłości ducha przeciwstawiają duchowi rewolty. I dlatego w umiejętności twórczego powtórzenia, to jest przetworzenia i pomnożenia kapitału tradycji, widzą oznakę kultury dojrzałej i płodnej. Natomiast w przewrotach, myślowych lub artystycznych, wietrzą – uzurpację.

Przykładni klerkowie, znawcy i smakosze literatury tudzież polihistorzy, wzorem swego dziewiętnastowiecznego protoplasty Anatola France'a wymijają stanowiska ostateczne, „może w równej mierze z umiłowania swobody, jak i z obawy przed gwałtem”. Jako styliści strzegą się przed zasadzkami nadmiernie skomplikowanej, zwracającej na siebie uwagę, wysiłonej i manierycznej składni, ich dyskurs przybiera formy doskonale proste, przejrzyste, logicznie uporządkowane. Do wybitnych przedstawicieli charakterystycznej tutaj szkoły lacińskiego gustu należeli w okresie międzywojennym tacy eseści i krytycy, jak Paradowski, Boy-Zeleński, Eizenberg, Borowy, Zawodziński. Spośród współczesnych wymienimy bez wahania Pawła Hertza, Zygmunta Kubiaka, a także (z różnymi wszelako dystynkcjami i zastrzeżeniami) Jerzego Kwiatkowskiego, Ryszarda Przybylskiego, Wojciecha Karpińskiego.

Reprezentantami diametralnie odmiennej orientacji duchowej, odmiennej postawy estetycznej i filologicznej, odmiennego również stylu, wydają się być w życiu literackim Drugiej Rzeczypospolitej tacy jego uczestnicy, jak Karol Ludwik Koniński, Stefan Napierski, Rafał Marceli Blüth. Umysłowego z nimi pokrewieństwa doszukiwałbym się w piśmiennictwie powojennym przede wszystkim u Kazimierza Wyki i niektórych jego następców (jak Kijowski), u Marii Janion, wreszcie w późnej eseistyce Wata i Miłosa. Wspólny mianownik wszystkich tych wspaniałych kabalistów literackich, zgłębiaczy a zarazem gmatwaczy pisma, miłośników i męczenników księgi, to, moim zdaniem, uprawiany przez nich typ lektury i egzegezy, w zasadniczym swym ukierunkowaniu bliski niewątpliwie romantyzmu „duchowi Północy”. Coś nieskończenie subtelne, zagadkowe, hermetyczne, co jest może istotą literatury i w końcu usprawiedliwia fascynację jej światami wymyślonymi, owo „coś” właśnie sprawia, iż czytane, a raczej wciągane od nowa od-czytywane, re-interpreto-

świecie, zgnoseologicznymi pułapkami nauki, z psychologią głębi, estetyką dysharmonii, paradoksalną etyką rozdarcia, cierpienia i heroizmu.

Nader złożone oblicze szkoły, o której teraz mówimy, odzwierciedliło się niezmiernie interesująco w studiach historyczno- i krytycznoliterackich Rafała Marceliego Blütha (1891-1939). Edycje jego pism, starannie opracowanych przez Piotra Nowaczyńskiego omówiła rozumnie Marta Wyka (chodzi o „Portret krytyka u schyłku dwudziestolecia” w zbiorze jej szkiców: *Głosy różnych pokoleń*, Znak, Kraków 1989). Jest jednak więcej niż pewne, iż wszechstronna ocena dorobku Blütha jako historyka i krytyka literatury oraz publicysty zagadnień społeczno-religijnych i politycznych będzie możliwa dopiero wówczas, gdy opublikowane również zostaną w zbiorczym tomie jego opracowania i raporty sowieciologiczne, w tym wyjątkowo trzeźwe analizy procesów moskiewskich z lat trzydziestych. Dorzućmy tymczasem do wizerunku umysłowości oryginalnej a jeszcze za mało znanej choć kilka pobieżnych kresek.

Otóż przejawiające się ze zmiennym natężeniem w polskiej myśli literackiej naszego stulecia romantyczno-gnostyczne, duszoznawczo-psychologiczne, etycystyczne i eschatologiczne skłonności i upodobania manifestowały się u Blütha bez mała we wszystkim. A więc w indywidualności pełnej kontrastów, gnanej duchowym niepokojem, dokonującej zwrotu od ateizmu i żydostwa do polskości i katolicyzmu. A także w strukturach i właściwościach myśli, jak gdyby z przyrodzenia nieciągłej, błakającej się między wieczną pokusą dywagacji a skupieniem. W jakże przedziwne niezdecydowanej karierze naukowej i pisarskiej! I w inklinacjach charakterologicznych i psychobiograficznych, które wyraźnie okazywał jako interpretator nie tyle oderwanych tekstów, ile osobowości wpisanych w dzieła; w umiejętnym diagnozowaniu wszelkich powikłań, trudności i rozdarć wewnętrznych, jakie z reguły towarzyszą podejmowaniu decyzji etycznych – bądź to w wykreowanej rzeczywistości literackiej, bądź to w realnych biografiiach twórców; w podejmowaniu rozważań nad sensem zakrytym granicznych sytuacji egzystencjalnych, nad momentami kryzysów i przełomów w losach pisarzy albo ich bohaterów; w krążeniu naokoło utworów literackich o charakterze konfesyjnym czy rewelatorskim (Mickiewicz, Dostojewski, Conrad, Brzozowski – to kluczowe tematy jego rozmyślań); w traktowaniu żywotów człowieczych jako widowiska głęboko tragicznego; w mocowaniu się z opornymi problemami badawczymi, które władaty jego wyobraźnią przez długie lata, porzucane – wracały na warsztat, aby stać się

– sam z bliżej nieznanym powodów nie opublikował. Powrócił co prawda do niej tuż przed samą wojną, ale zdążył ogłosić tylko część wstępną pod tytułem *Dwie rodziny kresowe. Z kroniki rodzinnej Josepha Conrada* (1939). Zaniechał także po dwu pierwszych rozdziałach kontynuowania szeroko zakrojonej monografii *Dziadów cz. III*. Wreszcie zbierane przez lata całe materiały do obszernej pracy o Dostojewskim – miała to być historia życia wewnętrznego pisarza pojęta jako dzieje etyczno-religijnych problemów – uległy zniszczeniu w czasie wojny”.

Trudno powiedzieć, co bardziej zastanawia w rejestrze sporządzonym przez Piotra Nowaczyńskiego. Czy suma porażek zdających się świadczyć o ogólnym niepowodzeniu pisarskim Blütha? Czy imponujące bogactwo projektów i pomysłów?

Polonista-mickiewiczolog ze szkoły Juliusza Kleina, rusycysta-samouk, uważany w latach trzydziestych za najwybitniejszego u nas znawcę współczesnej literatury rosyjskiej, conradysta – z najgłębszych umiłowañ, brzozowszczyk – z pokrewieństwa duchowego, zarazem żarliwy konwertyta i czołowy intelektualista katolicki, związany z prądem chrześcijańskiej odnowy religijnej i filozoficznej, ze środowiskiem Lasek, tak zwanym kółkiem ks. Władysława Kornilowicza i kwartalnikiem „Verbum”, ukazującym się w latach 1934-1939, był Blüth postacią nieprzeciętnego formatu. Ogniskował w swoim życiorysie intelektualnym pasję i poszukiwania charakterystyczne dla rozszerzającego się kręgu ówczesnej elity młodointeligenckiej.

Już przed 1930 rokiem był Rafał Blüth autorem szeregu szkiców i rozpraw ogłaszanych przeważnie w solidnych czasopismach, „Przeglądzie Warszawskim”, „Przeglądzie Współczesnym”, „Jeuzickim”, „Przeglądzie Powszechnym”. Dwie zwłaszcza prace należy wyróżnić w pierwszej fazie rozwoju jego myśli krytycznoliterackiej: „Psychogenezę „Snu w Dreźnie” (1925) i „Tragikomedię” snobizmu w życiu i twórczości Mikołaja Gogola” (1929).

Interpretacja onirycznego, kusząco zagadkowego w swej obrazowo-konkretniej wieloznaczności wiersza Mickiewicza („Śniła się zima, ja biegłem w szeregu, / Za procesyją pod niebem, po śniegu”) zrodziła się w głównym nurcie początkowych zainteresowań badawczych Blütha. W nurcie problematyki mickiewiczowskiej, który obejmował historię pobytu Mickiewicza w Rosji, rekonstrukcję jego „psychobiografii” i ewolucji wewnętrznej, kształtowanie się koncepcji mistycznych pod wpływem dzieł Boehme’a i Saint-Martina i wynikające z tego właśnie gruntu zawiązki ideowe późniejszych *Dziadów* dreźnieńskich.

niezupełnie adekwatnej terminologii, przeczuwaniem tego kierunku naukowego, który obecnie nazywamy psychoanalizą humanistyczną. Inaczej mówiąc, na tle ubogich i mechanicznie zawężonych do seksualnego libido uśłowañ freudowskich w polskiej krytyce literackiej tamtego czasu, pomysłowa i owocna próba psychogenezy dzieła literackiego w wykonaniu Rafała Blütha, wraz z prześwietlającym przez jej swoiste rusztowania teoretyczne konturem neopsychoanalizy, stanowiła prawdziwy ewenement.

Rzecz o Gogolu natomiast – wymarzoną wprost obiekcie dla badań psychoanalitycznych – pozostając przy metodach psychologii głębi, otwierała jednocześnie drugą, najbardziej dojrzałą fazę w działalności Blütha. Demonstrowała bowiem, w sposób nieledwie doskonały, jego wizję tragizmu (tutaj: tragikomizmu) życia, ową koncepcję biografii jako widowiska tragicznego, przy którym nie jesteśmy chłodnymi obserwatorami, lecz współodczuwającymi i współszacującymi świadkami czegoś, co jest także przykładem i parabolą naszego własnego losu. W niezmiernie subtelną konstrukcją hipotetyczną, starającą się wyjaśnić, głównie za pomocą złożonego zespołu kompleksów i czynników podświadomych, „współzależność zachodzącą między Gogolowskim humorem a Gogolowską tragedią życiową”, wpisywał Blüth równoczesną przestrożę moralistyczną; rekonstruując psychiczny wizerunek genialnego samouka, zdemoralizowanego przez karierę, wielkiego twórcy, który nie umiał być wierny własnemu powołaniu i porzucił rygory i zadania rzeczywistej pracy na rzecz duchowego dyletantyzmu i snobizmu, Blüth ostrzegał, że nie jest to tylko temat dawny i rosyjski, ale uniwersalny i aktualny wszędzie. „W Europie zmienić się może sceneria, ale nie zmienia się to, co jest istotne, tragikomedie prowincjonalnego snobizmu”.

Powstałe w ciągu lat trzydziestych kolejne eseje: „Konstantynopolińska katastrofa” (1932) – o ostatnim okresie w życiu Mickiewicza; „O tragicznej decyzji krakowskiej Konrada Korzeniowskiego” (1936); „Stanisław Brzozowski jako wychowawca” (1938) – to następne epizodyczne sceny we wstrząsającej i tym samym oczyszczająco-wyzwalającej kreacji tragizmu, nad jaką, na przykładzie życia i twórczości bliskich sobie pisarzy, rozmyślał Blüth. „Odczuwamy to tak – pisał w polemice z Frydem o wartości wychowawczą dzieł i osobowości kulturalnej Brzozowskiego – jakby w każdym tragizmie ludzkim miała się powtarzać ofiara wartościowego, bohaterskiego człowieka, składana za nas, współodczuwających świadków owego «widowiska». Taki też typ tragizmu odnajdywał u Dostojewskiego i Conrada.

W dziełach tych dwóch wielkich tragiczków nowoczesnych, moralistów i mistrzów powieści psychologicznej, którym zamierzał być poświęcić odrębne monografie, stwierdzał występowanie podobnych rysów, zbliżonej problematyki, a nawet wspólnych tematów – jak w świetnej paraleli przeprowadzonej między *Zbrodnią i karą* a *Lordem Jimem*. Nie negował dzielących ich różnic w domenach koncepcyj metafizycznych i politycznych, na odwrót, z „polemiki wewnętrznej” Conrada z Dostojewskim czynił ośrodek swoich rozważań, ale jednocześnie wydobywał zbieżności stylu twórczego (obydwaj dają w swych dziełach generalne diagnozy i ostrzeżenia) i jeszcze głębsze pokrewieństwa w niepodobieństwie, pokrewieństwa granicznych przeżyć duchowych. Obydwaj bowiem, choć w zupełnie odmienny sposób, zmagają się z intensywną wybujałością sfery podświadomej, żyją pod presją kompleksów, w stałym napięciu psychicznym, i poszukują wyzwolenia w autodiagnostycznym, pośrednio konfesyjnym świetle swej twórczości.

Wspomniana paralela, szereg naówczas rewelacyjnych artykułów i szkiców: o genealogii rodzinnej Conrada, o słabo zbadanych najwcześniejszych, dziecięco-młodzieńczych aspektach jego biografii, wreszcie o pisarstwie i Conradowskich arcydziełach, zwłaszcza zaś piękny esej „Powrót żeglarza” (niestety pominięty w *Pismach literackich*) – pozostaną świadectwem, że projektowana monografia o autorze *Zwycięstwa* leżała najzupełniej w granicach psychologicznej, estetycznej, moralno-filozoficznej i historyczno-literackiej kompetencji Blütha. Ale upłynęły trzy dziesięciolecia, zanim conradystyczne zasługi Blütha zostaną sprawiedliwie ocenione w książce Stefana Zabierowskiego *Conrad w Polsce*: „Żaden z badaczy polskich nie posługiwał się w takim zakresie i tak subtelnie narzędziami wypracowanymi przez psychologię głębi”.

Tajemnica tej arcysubtelności interpretacyjnej, odwagi w stawianiu nowych hipotez i docieklivej skrupulatności w ich weryfikowaniu i dokumentowaniu, kryła się przypuszczalnie nie w czym innym, jak w najgłębszych powinowactwach samego krytyka ze studiowanymi pisarzami. Czy kiedy w przejmującej „Konstantynopolitańskiej katastrofie” odmalowuje tragizm starości i beztwórczości Mickiewicza na tle tragicznego zaiste zmierzchu całej emigracji polistopadowej, i pisze: „w tym szkicu idzie mi o wmyślenie się w życie tego proces realny”; czy kiedy za maską *Rewizora* odkrywa dręczący temat nowoczesnej literatury: tragicomiczny grymas człowieka zmuszonego żyć w rozdwojonym świecie, człowieka wewnętrznie rozszczępionego, psychicznie powikłanego i niejednołitego – wmyśla się rzeczywiście w cudzy i odrębny świat duchowy, zatapia się w nim, przedłuża go w sobie, aż dochodzi do zupełnego porozumienia: tego aktu inicjalnego prawdziwej krytyki.

Rozumiemy więc, dlaczego Blüth był przeciwnikiem różnego rodzaju kampanii likwidatorskich i rewizjonistycznych w stosunku do przeszłości literackiej, wszczynanych nieustannie w dwudziestolecie, to przez futurystów i awangardę, to przez Jana Nepomucena Millera, to przez Boya, to przez marksistów, to przez Frydego, który usiłuje na przykład rozprawić się z Brzozowskim; wszystkie te próby, w których nie odnajdywał aktu „wniknięcia” i współprzeżycia, aktu porozumienia i identyfikacji wewnętrznej z cudzą twórczością, po którym to zbliżeniu zdobywa się dopiero prawo do dystansu krytycznego – wydawały mu się mało odpowiedzialne i przedwczesne. Uważał, że w przeciwieństwie do Brzozowskiego, który zawsze walczył ze współczesnością „w imię czegoś, co poza współczesność wykraczało”, terazniejsi przezwytyczający tradycję romantyzmu, „żeromszczyzny”, „brzozowszczyzny” etc. traktują rzeczywistość zastaną jako kryterium ostateczne. Zatem z całą mocą i przeświadczeniem etycznym piętnował „ten znamieny, samizolacyjny, pyszny, «współczesnościowy» punkt widzenia, zajmowany przy rozrachunkach z tamtymi poprzednimi formacjami ideowymi i kulturalnymi, stanowiącymi rezultat pracy i walki pokoleń całych!”. Był rok 1938. Dramatyczny wykrzyk w artykule Blütha nie pochodził z repertuaru dętej retoryki. To kończąca się epoka ostrzegała następną przed własnymi błędami. Daremnie.

RAFAL MARCELI BLÜTH, *Pisma literackie*, Znak Kraków 1987

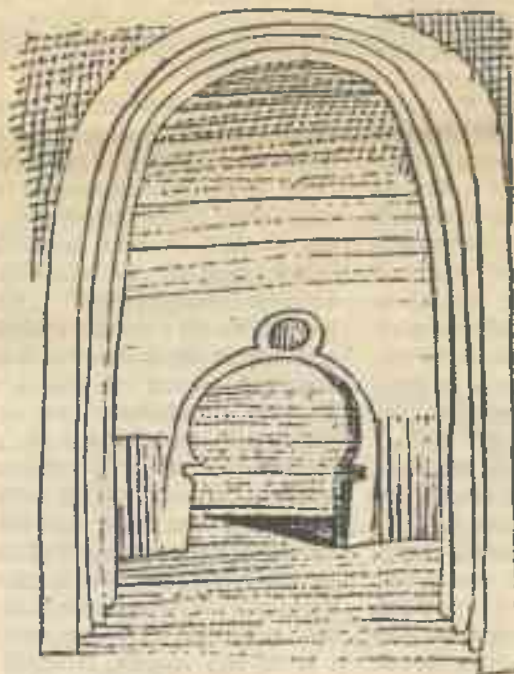
Wyrok

Już tyle lat bez ciebie. Z tym dzieckiem pod skórą.
Z tą płochą dziewczynką wypatrującą ciebie
we wszystkich mijanych twarzach.

A twoje żywe serce wciąż bije mi w piersi.
A twoje oczy takie jasne, że nie wyblakły w moich oczach.
A twoje usta zmartwychwstają w każdym moim uśmiechu.
Tylko już nikt mnie tak nie kocha,
by płakać z mojej nieczułości.
Tylko już nikt mnie tak nie nosi,
bym pozostała wyniesiona.
I nikt, jak ty, nie darzy śmiechem,
by nie poranić drugim słowem.

Jak wyrok siebie dźwigam.
Tę płochą w sobie. Ten wieczny głód święta,
które umarło przecież razem z tobą,
choć świat nadal uwodzi mnie tamtym niebem,
zapachem tamtego tataraku, kwitnieniem tamtych łąk.
Całym tym dzieciństwem tkliwym jak cierń
w znoszonym łachu życia.

Ach, kto tak czysto woła mnie po imieniu,
że lekka jak powietrze biegnę na spotkanie.
Nie, to nie ty.
To znowu moje marzenie migoczące na czyichś wargach.
Ktoś, kogo pożądam przez jeden krótki błysk
oślepiającej tęsknoty.



HENRYK WANIEK

Niestalość

W tych ścianach z wiatru i ziół gnieźdzą się trzmielę ciszy. Czasami nagły szpak zagwiżdże, albo kukułka przekornie odpowie tak-nie, tak-nie na moje natrętne pytanie. Łąka wciąż mnie zagarnia w swoje wonne sidła i stopy mi liże językiem trawy, a ja skaczę wzrokiem z kwiatu na kwiat, z gałęzi na gałąź, jakbym nie umiała wytrwać w zachwycie nawet dla bystrookiej smółki, nawet dla czupryennej trzciny, nawet dla sturamiennego dębu.

Cały ten bujny świat jest bowiem jak obłoczek mgły wobec pustyni we mnie, wobec tych wydm żalobnych, po których błąka się moja dusza. Kto zatrzyma mnie wreszcie w wędrówce donikąd po własnych śladach, gdzie czarne zgłiszcza ognisk znaczą miejsca postoju. I lodowaty powiew ledwo-szepty zgarnia po was, którzy byliście moim życiem.

A gdzież Ty jest, Odwieczny, święć się imię Twoje, ze swoimi stadami, z boskim ziarnem wiary? Tylko mi pokaż ten stok, na który trzeba się wspiąć, tylko daj mi ten znak. Odbierz ciało i śpiew, i mamiący gwiazdami ugór wszechświata. Ni siać, ni orać Ci będę, ale na zawsze dziwił się Tobie, wierna jak wszelki niebyt.

Adriana Szymańska

*Aż dotąd doszedł Bóg i zatrzymał się o krok od nicości,
tak blisko naszych oczu.*
Karol Wojtyła

To tylko ta gotowość To wierne czekanie
Czy już Czy nadchodzi
Krokiem lekkim ociężałym pogwizdując sapiąc
między brwiami unosząc myśl nie domyśloną
a już odlatującą w ciemność niedowiary

Którędy przyjdzie
Z pól wysrebrzanych lipcowym upałem
czy prosto z nieba płowego jak rdza
Czy będzie mężczyzną w cierpkiej woni potu
kipiącym pożądaniem w mięśniach w skłonie głowy
w czułym załamaniu rąk
Czy zjawi się żeńska w gładkiej sukni skóry
rozsiewająca mdłą woń cielesności
i zagłębiona w siebie aż po rękojęcie
ówiartujących ją marzeń
Czy przypomni się twarzą szalonej prababki
nawiedzanej przez orde pełnokrwistych diabłów
czy spoza grobów najdawniejszych zmarłych
zahuczy nagle w skroniach dziką pierwotną krwią

Kimkolwiek będzie Czymkolwiek olśm
to wierne czekanie Tę czujność zmysłów
Ten mozół pamięci
Gdziekolwiek otworzy usta do wyznania
ziemię dla kolan ciało na ból
Niech pozostanie chociaż obietnicą
tą wieczną nieprawdą wiary
Niechże się już nazywa daremnym czekaniem
skoro nagle uchyla przed spojrzaniem ślepca
całą tę promienną
całą tę na mgnienie
Nieśmiertelność

3.

Po pierwsze. Jaką strukturę ma wywód Jana Walca?

Zacząłem lekturę z zacięciem. Autor wspomina o homoseksualizmie Iwaszkiewicza i czyni słuszną uwagę, że zapewne stanowi to istotny element pisarstwa i życiowych doświadczeń Iwaszkiewicza. W Polsce o „takich sprawach” się nie mówi, a i sam omawiany pisarz również nigdy o tym wprost nie pisał. Szybko jednak okazało się, że ów „istotny szczegół osobowości” stanowi właściwie pierwszy punkt oskarżenia Iwaszkiewicza – pisarza i zarazem Iwaszkiewicza – człowieka. Fakt ten (homoseksualizm) już w pierwszym ustępie esaju jest subtelnie powiązany ze... „sprawą polską”: „nienawidzący kobiet” młody Iwaszkiewicz właśnie dzięki siostronom poznaje polską kulturę. Tekst sugeruje coś, co zostaje później wprost wypowiedziane: z „nienawiścią do kobiet” wiąże się nienawiść do kultury w ogóle, a do „kultury śródziemnomorskiej” w szczególności. Bo wiem – i tutaj pada następny argument obnażający prawdziwe oblicze Iwaszkiewicza – jest on właściwie Azjata – to znaczy dzikim barbarzyńcą ze stepów, który potrafi co najwyżej rabować dorobek kultury, niszcząc ją tym samym. Barbarzyńcą przenika na wskroś pragnienie użycia, pragnienie natychmiastowego posiadania. Ideał kultury (śródziemnomorskiej) obcy jest komuś, kto nie widzi sensu w budowaniu, w pracy, w codziennych (i jak się można domyślać: rodzinnych) wysiłkach, a nawet w twórczości, bo i pogardę dla wszelkiej sztuki znajduje Walc w dziełach Iwaszkiewicza.

Wreszcie twórczość Iwaszkiewicza jest wyraźnym dowodem z całą premedytacją stosowanej w praktyce postawy nienawiści do Ojczyzny. Ten wątek w tekście Walca rozwijany jest subtelnie, gradacja napięcia demaskatorsko-oskarżycielskiego narasta stopniowo, aby dojść do apogeum, w momencie gdy pada teza, że w gruncie rzeczy stosunek Iwaszkiewicza do Polski był taki sam, jak stosunek do niej komunistów. Dowodem na to ma być wiersz Iwaszkiewicza „List do Prezydenta Bieruta”. Wbrew wszelkim zastrzeżeniom, Walc ma odwagę potraktować ten „List” poważnie: jako wyznanie prawdziwej postawy autora. „Pozwolę sobie cytowane fragmenty »Listu« potraktować serio i poddać analizie, choć można wobec decyzji takiej wysnuwać pewne zastrzeżenia, związane z przekonaniem, iż okres, kiedy wiersz ów powstał, wymaga bardzo specjalnego traktowania”. Jaki jest efekt tej „analizy”? Proszę uprzejmie: „Kiedy więc powiada Iwaszkiewicz, że taka sama jest jego miłość do Polski i tych prostych ludzi, jak miłość do Bolesława Bieruta – mróz przechodzi po krzyżu. Bo może to i prawda rzeczywiście. Polska ojczyzna (dlaczego z malej litery? – IK) pojmowana jako wielki zbiorowy obowiązek, nie obchodziła go przecież w sposób porównywalny z najradzykalniejszymi komunistami.” Oskarżenie zostaje podparte wspomnieniami samego Iwaszkiewicza, który to w ogóle nie wiedział, że wybuchła wojna z bolszewikami. Sam książę pan Woronicki musiał go przywołać do porządku: nakazał by książę – syn, którego preceptorem był Iwaszkiewicz, powrócić do domu i wstąpić do armii, po to by spełnić patriotyczny obowiązek. A Iwaszkiewicz udał się do Zakopanego, na spotkanie... z panem Mieczem. „Więc kiedy – kończy się wywód Jana Walca – człowiek (Iwaszkiewicz – IK) publicznie przyznający się do takiego stosunku do Ojczyzny (no, nareszcie właściwa litera – IK), porównuje swoje dla niej uczucia do tych, jakie żywi agent obcego mocarstwa wyznaczony na jej pacyfikatora (czyli Bierut – IK) masowo podpisujący wyroki śmierci na bojowników o jej niepodległość, kiedy agentowi owemu składa się z dobrej woli deklarację pomocy – to trudno takie słowa zbyć lekceważeniem czy mówić o archetypach”.

Esaj swój Walc zaczyna od cytatu z wiersza Iwaszkiewicza „Lilith”. Pojawiającą się w nim tytułową postać identyfikuje jako żeńskiego demona zła, występującego w żydowskiej mitologii. Tekst swój autor kończy (tym razem bez cytatów) stwierdzeniem, że Iwaszkiewicz „przez lata” toczył dramatyczną walkę z Faustem Goethego, przy

czym: „szczególnie interesujące, że ten człowiek (Iwaszkiewicz – IK), mający od wczesnej młodości poczucie zaprzędania duszy diabłu (podkr. moje – IK), widzi jedyny swój ratunek nie w owym dążeniu i trudzie, ale, przeciwnie, w unieważnieniu, odwróceniu na opak tego co Goethe napisał”. Teraz dopiero staje się dla nas jasne, dlaczego cytował z „Lilith” opatrzone jest komentarzem, akcentującym zarówno młody wiek autora jak i to, że przedrukował go on kilkakrotnie w następnych zbiorach wierszy. W ten sposób zyskujemy dowód na to, iż Iwaszkiewicz już w młodości zaprzędał duszę diabłu.

4.

Analiza twórczości Iwaszkiewicza, której dokonuje Walc w środkowej części swego esaju niezbicie dowodzi, że głównym celem twórczości Iwaszkiewicza była „kompromitacja czy zohydzenie miłości”, dowiedzenie,

Ireneusz Krzemiński

Kto następny czyli czystka niezależna

że nie ma jej na świecie”: „nie ma zgody mopanku – mówi Jan Walc – literatura, a szczególnie wielka literatura, pełna jest historii o miłościach tragicznie przerwanych czy niespełnionych (...) A przecież... Spojrzałem w tej chwili przed siebie: na ścianie, w pobliżu biurka, pocztówka z reprodukcją obrazu krajana i rówieśnika Iwaszkiewicza, a zarazem jednego z tych nielicznych, którzy zdołali ująć z życiem, choć przeznaczona im była komora gazowa – Marca Chagalla, człowieka, który na czas pogardy i zbrodni odpowiedzieć postanowił malowaniem miłości”. Dalej następuje wywód o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim, który stworzył „najgłębszy napisany po polsku w naszych czasach hymn na cześć miłości”, a tworzył go walcząc za Ojczyznę, gdy tymczasem perfidny pedał – Azjata w Heidelbergu przemyslił nową wersję *Kochanków z Weroni*, w której oni się „wzajemnie ze złości pomordowali”. Czyż trzeba więcej? Istotnie, pisze Jan Walc: „Trzebaż więcej?” Nie.

Struktura rozważań na temat Iwaszkiewicza i wzory na jakich jest oparta, jest strukturą aktu oskarżenia, w którym fakty i zmyślenia pomieszane są w bardzo staranny sposób. Życie i literatura tworzą ciąg nierozróżnialny. To, co Walc – krytyk literacki przypisuje tekstom pisarza, Walc-oskarżyciel bierze tym samym za dowód winy, która, w gruncie rzeczy, jest już i tak dawno stwierdzona.

W jaki sposób uzasadnia Jan Walc zarówno „literackie” jak i „moralne” sądy?

Walc – krytyk literacki, jak już wcześniej powiedziałem, analizuje twórczość Iwaszkiewicza z moralnego punktu widzenia. Wy-

czytane u Iwaszkiewicza treści i swoje interpretacje jego utworów traktuje jako opowiedzenie się pisarza za określonymi wartościami, a tym samym i dowody na to, że wyznawał on w życiu i praktykował określoną moralność, do której – co gorsza, chce nakłonić czytelników. Zatem fakty biograficzne z życia pisarza nigdy nie analizowane osobno, lecz traktowane na zasadzie ogólnikowych informacji – znajdują swoje wyjaśnienie i wyświetlenie w rzeczywistości literackiej, którą Walc – krytyk przygotowuje pod kątem życiowych postaw autora *Brzeziny*. W ten sposób otrzymuje spójną całość. Jeżeli bowiem ktoś nienawidzi kobiet i jest „zdeklarowanym homoseksualistą” a żeni się (w dodatku z córką Lilpopa), to oczywiście jest, że wynika to z jego cynicznego dążenia do wygodnego życia. Rozterki bohatera powieściowego, Hipolita, są po prostu zwykłym autobiograficznym „od-zwier-

ciemieniem” życia samego autora. Jeśli ktoś nienawidzi kobiet, musi nienawidzić miłości. Jeśli ktoś nienawidzi miłości nie może również kochać Ojczyzny, jak i w ogóle nie może kochać życia, musi być niemoralnym, czyli zaprzędać duszę diabłu. Nie dziwi więc, że popiera Bieruta. Co było do udowodnienia...

5.

Sądy Walca są jednak bezpodstawne i pełne sprzeczności. Zaczniemy od koronnych zarzutów, dotyczących „niewiary w miłość” i tego, że wszyscy bohaterowie Iwaszkiewicza ponoszą klęskę, przegrywają, a ich życie jest nieudane. Analiza, dowodząca powyższych twierdzeń, prowadzi Jana Walca do wniosku następującego: „Niewątpliwie przyszło mu żyć w czasach trudnych i domagających się niejednokrotnie zachowań heroicznych; istotne jest jednak nie to, że Jarosław Iwaszkiewicz sam się na takie zachowanie nie zdobył, i nie z tego mu chcemy czynić zarzut – i ważniejsze, i straszniejsze jest to, że aby swoją postawę zwaloryzować, potwierdzić i usprawiedliwić starał się pisarz przekonywać czytelników dzieł swoich utworów, że człowiek nigdy nie miewa wpływu na otaczającą rzeczywistość, że historia dzieje się ponad jego głową i to do tego stopnia, że zdołał w swoich tekstach starannie zatrzeć ślady (podkr. moje – IK) zwycięskiej walki, jaką za jego życia stoczyła Europa z hitleryzmem” (sic!). Pomijam styl tego fragmentu, który, jako żywo, przypomina najlepsze „kawalki” publicystyki „Trybuny Ludu”, a nawet idzie

za jej wzorem przeciwstawiając „zepsutemu nihilizmowi” – „prawdziwe wartości” i „pozytywny” obraz świata. Walc zarzuca Iwaszkiewiczowi coś, co może zasadnie zarzucić lwiej części europejskiej literatury XX wieku. Przywołanie *Dżumy* Camusa jest pokrętne i nieprawdziwe, bo w gruncie rzeczy *Dżuma* ma więcej wspólnego z treściami, które Walc przypisuje Iwaszkiewiczowi, niż na to nasz krytyk wskazuje. Potraktowanie powieści Camusa jako wyrazu niezłomnego optymizmu i śródziemnomorskiego świadectwa o zwycięstwie „kultury i miłości” wydaje się zgola komiczne.

Poglądy Iwaszkiewicza na miłość i obraz „nieudaczności” ludzkiego życia to zgola coś wysoce nieoryginalnego. Można mu więc zarzucić nieoryginalne naśladowanie „moralnego zgnilizmu” Europy. Iwaszkiewicz idzie tropem pytań Prousta (też pedał, więc nic dziwnego), zgola imituje Tomasza Manna (Mann też miał ciągotki homoseksualne), wreszcie – problemy jego twórczości związane są z literaturą francuską, zwłaszcza z Gide’em (jak wyżej) i późniejszymi egzystencjalistami (jeśli nie byli pedalami, to są pewno moralnymi bestiami). Ale Walc pomija ten pokrętny kontekst literacko-kulturowy, gdyż przede wszystkim chce dowieść swojej tezy, że nihilistyczne poglądy Iwaszkiewicza są w gruncie rzeczy wynikiem jego... azjatyckości. Nic mu nie przeszkadza, że ta Azja to Ukraina, a nie Mongolia, albo choćby Turcja, i że wcześniej sam wspominał Chagalla, jako krajana Iwaszkiewicza! Chodzi tu, rzecz jasna, o emblemat obości, jaki chce się przypisać Iwaszkiewiczowi, arrywście, przybyszowi „znikąd”, czyli z obrzydliwej komórki buchaltera.

Romans z diabłem oczywiście musiał się stać „romansem z komunizmem”. To jest podstawowa teza Walca. Autorowi jakoś nie przeszkadza fakt, że gdyby jego teza była prawdziwa, to kiepsko o „diabolizmie” Iwaszkiewicza świadczy wiersz „Lilith”. Skoro był tak „głębokim i zdecydowanym homoseksualistą”, który „kobiet nie znosił, brzydził się nimi” to raczej nie należałoby go posadzać o chęć rzucenia się w ramiona... kobiety – diabła. Raczej powinien był poszukać „krzepkiego i rosłego” szatanika... Mało przekonujące są też inne słowa Walca: „Jeżeli cena małżeństwa dla pieniędzy wydawała się niekiedy Hilaremu wysoka i bolesna, daremnie szukać śladów jakiegoś dyskomfortu Iwaszkiewicza, który by wynikał z jego decyzji oddania się na służbę komunistom. (...) Nigdy przedtem przypowieści Iwaszkiewicza o bezsensowności ludzkiego działania o tym, że wszystko ostatecznie zmienia się w zło, nie miały takiego związku z rzeczywistością, jak w pierwszym, stalinowskim dziesięcioleciu PRL”. I dalej: „Nie było podówczas w Polsce pisarza, którego ówczesne władze mogłyby obdarzać większym zaufaniem, częściej wysyłać za granicę, wiedząc, że nie zawiedzie, że będzie reprezentował ich interesy. Ich poglądy na świat i ludzi pozostawały w doskonałej harmonii (podkreślenia moje – IK) z poglądami Jarosława Iwaszkiewicza”. Zdania te są doprawdy zaskakujące, bowiem nie liczenie się Jana Walca z rzeczywistością osiąga tu apogeum. Być może większość komunistów, rządzących wówczas w PRL miała świadomość nihilistyczne poglądy na świat i życie. Chyba jednak żaden z nich nie odważyłby się takich właśnie poglądów zmanifestować, i to nie tylko oficjalnie, ale pewnie i kameralnie. Tymczasem jeżeli Iwaszkiewicz wyznawał taki światopogląd, to jak wynika z tekstu Walca, czynił to otwarcie, wyrażając go wprost – jak chce krytyk – w swych utworach. Lecz Walc zapominał, że „pierwsze dziesięciolecie” w dziejach PRL to panowanie służbowego, zdrowego optymizmu życiowego (tak zwanego humanizmu), kult zwycięskiej pracy, obowiązkowy aktywizm, zwycięstwo dobrych i sprawiedliwych, świat moralny... (choć pod przewodnictwem przewodniczki narodu – PZPR i wodza internacjonalistycznego ruchu Józefa Stalina...). Treść utworów Iwaszkiewicza reprezentowała zatem właśnie nie co innego, jak zgniliznę moralną starej burżuazyjnej Europy.

Coś w tych wywodach się nie zgadza, albo coś trzeba byłoby rozwinąć i rozbudować, aby sądy te nabrały znaczenia.

ZESZYTY LITERACKIE Nr 31 (LATO 1990)

W numerze: PROZA I POEZJA: ZBIGNIEW HERBERT, Gerard Terborch. Dyskretny urok mieszczaństwa; JULIA HARTWIG, JERZY KRONHOLD, ADAM ZAGAJEWSKI: Wiersze. PREZENTACJE: HANNA KIRCHNER, Nieznany utwór Janusza Korczaka; JANUSZ KORCZAK, Dzieci Biblii. Mojżesz; CHARLES SIMIC, Trzyście próz poetyckich. LISTY Z PARYŻA: WOJCIECH KARPINSKI, Van Gogh – „tęsknota za krajem obrazów”. SYLWETKI: KAZIMIERZ BRANDYS, Ulica Vaneau. SPOJRZENIA: MARIA DANILEWICZ-ZIELIŃSKA, Inna droga do domu na Lincoln's Inn Fields w Londynie. ROZMOWY: STANISŁAW BEREŚ, Trzeba o tym mówić. Rozmowa z prof. DANIELEM BEAUVOIS. O KSIĄŻKACH: TADEUSZ NYCZEK, Czarne litery na ciemnym tle; JAN ZIELIŃSKI, Wiersze Rydza-Śmigłego; BARBARA SOLA, Inna liryka. NOTATKI, KRONIKA, Z LISTÓW DO REDAKCJI, OD REDAKCJI, INFORMACJA, NOWE PUBLIKACJE, NOTY O AUTORACH, RESUME, ZESZYTY LITERACKIE 1-30: Wykaz publikacji.

Wszelkich informacji na temat prenumeraty na drugie półrocze 1990 r. oraz warunków sprzedaży udziela: AGORA Sp. z o.o., Warszawa, ul. Iwicka 19, tel. 41 66 55

Wciąż jeszcze pokutuje przekonanie, że wszystko co nowe jest lepsze, bo udoskonalone. Postęp niosący nowoczesność jest milej widziany od anachronicznych staroci. Każdy bunt rodzi rewolucyjne wizje.

„Odkąd pamiętam, malowanie było mi potrzebne” – mówi o sobie Wojciech Fangor – artysta związany na początku swej drogi twórczej ze „szkołą” Kowarskiego, a od roku 1966 na stałe mieszkający w Stanach Zjednoczonych. To jego pięćdziesięcioletni dorobek artystyczny prezentowany był niedawno w salach Zachęty. Być może jest to pierwsza wystawa, która zapoczątkuje cykl ekspozycji poświęconych polskim artystom mieszkającym od lat na Zachodzie, przynajmniej taką nadzieję żywi kołar wystawy – Aleksander Wojciechowski.

Wszechobecna w życiu Fangora potrzeba wypowiedzenia się za pomocą płótna i farb, kazała artyście żywo reagować na wszelkie aktualności otaczającego świata. Jednakże jego dzieła nie wyrastają li tylko z fascynacji nowością, przypominają raczej prace konsekwentnego naukowca, który wciąż coś odkrywając i ulepsząc wysoko ceni sobie to, do czego udało mu się już dotrzeć. Wystawa prezentuje malarstwo Fangora we wszystkich jej nurtach stylowych. Są tu obrazy z lat czterdzie-

Wojciech Fangor

tych i pięćdziesiątych napiętnowane socrealistycznym monumentalizmem i klasycyzującą formą, czy też fascynacją dziełami Picassa. Obok nich te z końca lat pięćdziesiątych zaskakują śmiałym dążeniem ku abstrakcji geometrycznej. Zamilowanie do monumentalizmu, matematycznej konsekwencji kształtu z równoczesnym zafascynowaniem kolorem zrodziło jego własny, bardzo osobisty sposób wypowiedzi, który znalazł odzwierciedlenie w „abstrakcji iluzyjnej”. To właśnie fowistyczne rozkoszowanie się barwą pozwoliło mu doprowadzić sztukę op-artu do perfekcji warsztatowej. Fangor nieprzypadkowo posługiwał się rozpyloną farbą; panował nad nią znakomicie. Nie odszedł jednak zupełnie do świata abstrakcji. W cyklu „I.S.” z 1975 roku pojawia się zmonumentalizowana i zgeometryzowana ludzka twarz.

Obrazy Fangora ukazane są w celowym chaosie, który trochę męczy. Nie ma tu chronologicznego układu, trudno więc jest prześledzić, tak zwaną drogę twórczą artysty. Nie sposób też stwierdzić, co otwiera, a co zamyka ekspozycję – czy *Dziwaczyna z kotem* z roku 1944, czy też uspokajające swym błękitem fale oceanu *Chwała Morzu*, *Wielorybom*, *Zamecznikowi i Ociepce* – environment z 1990 roku. Obrazy łączą się w swoistą, roziskrzoną tysiącem barw, łamigłówkę. W każdej sali wyraźną dominantę stanowią dzieła stylowo jednorodne; dla podkreślenia ich inności, sąsiadują z zupełnie odmiennymi oraz z tymi, które choć czasowo odległe niosą wyraźne piętno tych pierwszych. Najlepszym przykładem niech będzie obecność obrazu *Interior Exterior* z 1987 roku obok dzieł z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Ta pomysłowa formuła wystawy jest rozmyślną zabawą z odbiorcą; to jakby stawianie wciąż tego samego pytania: czy sztuka Fangora podlega stale następującym po sobie rewolucjom, czy też ewolucyjnej przemianie, która nosi w sobie pierwiastek trwania czegoś stałego i niezmiennego? Odpowiedź narzuca się sama; aranżacja wystawy odpowiada jednoznacznie, że prawda leży w drugiej części pytania.

Czy rozpatrując jakąkolwiek twórczość w ogóle nie powinniśmy zrezygnować z terminu „rewolucja”, obalając wciąż jeszcze żywy mit o możliwości zaistnienia w sztuce nagłych przemian i raptownych przełomów?

Elżbieta Rottermund

Krzywe Koło

Po obejrzeniu tej wystawy, po niespiesznym przejściu przez sale i dotknięciu – czego robić nie wolno – obrazu Nowosielskiego, dziwnie spękanego i dziwnie wielkiego, po zdumieniu się niedużymi płótnami Fijałkowskiego, namalowanymi jakby wczoraj i gdzieś na dalekiej północy, wśród symboli septentrionalnych, po obejrzeniu obrazów Tchórzewskiego i Brzozowskiego, Dominika i Gierowskiego, Tarasina i Stażewskiego, po wyjściu z muzeum i przemyśleniu tego, co się obejrzało, po powrocie i ponownym obejrzeniu wszystkiego, po bezradnym popatrywaniu na pustawą salę Muzeum Narodowego, refleksy światła na obrazach i całą tę samotną przestrzeń, nie potrafię odpowiedzieć na jedno krzywe pytanie: dlaczego w Polsce, tak bardzo – podobno – spragnionej prawdy i Absolutu, każda niemal wystawa dobrej sztuki jest czymś smutnie nie rozumianym i jakby zupełnie nie chcianym.

Rajmund Kalicki

Galeria *Krzywe Koło* – tę ciekawą i ważną wystawę, przygotowaną przez Janusza Zagrodzkiego (przy współpracy Hanny Korkowskiej-Barej i Bogdanę Gorzałkowskiego), pokazywano w lipcu-wrześniu 1990 w Muzeum Narodowym w Warszawie.

sztuka

W życiu osobnika, który związał swe nadzieje ze sztuką, przychodzi – prędzej czy później – taka chwila, gdy impet wiary ulega wyhamowaniu. Zadyśzane przebieganie od jednej galerii do drugiej, zachłanne kartkowanie specjalistycznych magazynów, wylapywanie modnych nazwisk i manier, wszystko to, nie tracąc swego uroku, staje się nieco mniej obiecujące niż kiedyś sądziliśmy. Uwaga przesuwa się nieznacznie w innym kierunku, ku wartościom sprawdzonym i odporniejszym na sezonowe mody.

Mogę się mylić. Być może sprawy winny się toczyć inaczej; coraz szybciej i śmieiej, sprytniej i bez ceregieli? Aut erit, aut non. Lecz, jeśli jest tak jak napisałem, to mnie ta chwila spotkała zanim nastąpiły lata osiemdziesiąte. Powstała we mnie obawa, że sztuka pretendująca do tego, by być opisem świata, w gruncie rzeczy potrafi już tylko opisywać świat swoich form. I trwa, niewzruszona, pośrodku Wszechmocnego Rynku, jakby to on właśnie był duchowym centrum naszej rzeczywistości.

Lata osiemdziesiąte, przylapały sztukę na owym faryniente, a ona, jak to wielokrotnie bywało w okresach kryzysowych, schroniła się w fałdach ekspresjonizmów. Uogólnienie, na jakie sobie w tym miejscu pozwalam, wyklucza z konieczności niezliczone wyjątki. Może to właśnie im należałoby poświęcić większą uwagę, jako że sztuka jest (mogłaby być) domeną wyjątkowości górującej nad banałem? Ale proporcja między wyjątkowością a typowością jest określona i nie inaczej jest w sztuce naszego kraju. Typowość polska była naturalnym dzieckiem mariażu państwowości z artystycznym serwilizmem. Rok 1981 i stan wojenny rozbił to małżeństwo. Półośieroczną sztuką, już wcześniej rozdzieloną na „realizm” i „kosmopolityzm”, na „kraj” i „emigrację”, na „światowość” i „prowincjonalizm”, i tak dalej, pękła wewnętrznie raz jeszcze na „bojkot” i „kolaborację”. Podziały w rodzaju przytoczonych powyżej, całkiem czytelne dla biurokracji, doktrynerstwa i starszych sierżantów, nie mówią jednak zbyt wiele o faktycznej kondycji artystycznego potencjału. Mnożące się zróżnicowania wewnętrzne sztuki są tylko jedną stroną procesów rozwojowych; efektywną, lecz najczęściej ilu-

Ankieta: Co się stało

w sztuce lat osiemdziesiątych?

zoryczną. Drugą stroną są zjawiska łączenia się i zrasanie pęknięć; okoliczności w których zwaśnione języki i idee odzyskują szansę syntezy, a w jej rezultacie, oryginalną jedność, która trwać może przez jakiś czas. Dla lat 80. okolicznością taką była próba usytuowania się aktywności artystycznej w Kościele. Ten niedługi, jak się dziś wydaje, epizod, mimo że odsonił nieprzygotowanie obu stron do takiego spotkania, uznać należy za najciekawszy i najbardziej owocny eksperyment w sztuce ostatniego czasu.

W mojej pamięci lat osiemdziesiątych ten proces odnajdywania się sztuki wobec świątyni zapisał się kilkoma

Bez świątyni?

kulminacyjnymi faktami. Jednym z nich jest konferencja *Sacrum i sztuka*, zorganizowana w Rogoźnie przez Katedrę Historii Sztuki KUL. Merytoryczna atrakcyjność tej konferencji została już należycie potwierdzona przez książkę pod takim samym tytułem, zredagowaną przez Nawojkę Cieślińską i wydaną przez „Znak”. Konferencja odbyła się w roku 1984, książka ukazała się w pięć lat później. Ale książka tego rodzaju nie jest w stanie przekazać atmosfery kuluarów i tła konferencji, która nie ustawała nawet w przerwach. Z sali dialog przenosił się do korytarzy, do pokoi i niewielkiej jadalni. W miłej ciasnocie stołówek duchową integrację wspomagały zręczne i niebiańsko pracowite postulantki Zakonu Urszulanek. Pięć razy dziennie dokonywały cudu, obsługując liczne grono oderwanych umysłów. Poruszały się w przestrzeni, w której – na oko – nie było kawałka wolnego miejsca; w przestrzeni gęstej od sprzętów, posiłków i słów. Po czym jadalnia pustoszała. Ekspersi powracali do oficjalnego programu. Wycho- dząc stamtąd spróbowałem dwa lub trzy razy zabrać sztucce i talerze, jakich używałem i zostawić w okienku koło drzwi, ale wiedząc, że nikt tego poza mną nie robi,

uznałem, że nie należy, że może nie wypada, i dałem spokój. Jest taki chińsko-buddyjski przesąd: „Zjadłeś? Sprzątnij swe miski”, ale nie miał on tu zastosowania i przyznam się, że w antraktach między profesorem Białostockim a Porębskim, czy też księdzem Starowiejskim a malarzem Sempolińskim, zastanawiałem się nawet nad tym czy aby ześrodkowanie myśli na samej tylko sztuce nie osłabia kontaktu z rzeczywistością. Poza antrakciami nie mała jednak moje poczucie obecności pośród doniosłych i pięknych myśli. Jeszcze w pociągu do Warszawy towarzyszyły one grupie uczestników konferencji. Żał było rozstawać się z tym duchem i tym klimatem, ale podobnie jak w sztuce tak i w codzienności, piękno ma swoje granice. Na Dworcu Centralnym uściśnłem dłoń doktora Olszewskiego, pożegnałem się z profesorem Boguckim i pojechałem tym samym tramwajem z Wiesławem Juszcakiem. Do domu wróciłem w okrągłej godzinie dziennika radiowego.

Jednym z pierwszych komunikatów była wiadomość o zaginięciu księdza Jerzego Popiełuszki, połączona z apelem do ewentualnych świadków lub osób mogących wiedzieć o czymkolwiek. Komunikat ten zapisał się w mojej pamięci w jakimś powiązaniu z tamtą konferencją, stając się jej niezamierzonym, końcowym akordem. Czy można; czy należy budować na nim jakieś wnioski? Tego nie wiem. Od paru lat usiłuję to zrobić. Usiłowanie to wydaje się czasem beznadziejne, ale wracam do niego, jak do znaku, w którym krzyżuje się zbyt wiele sensów, by dało się to wyrazić zwyczajnym językiem.

październik 1990

Henryk Waniek



HENRYK WANIEK

TYGODNIK
LITERACKI 7

Kamieniami w Anioła Historii

rozmowa z Reinerem Kunze

Dokonana się unia walutowa, gospodarcza i socjalna. Kiedy w 1982 roku pisarze z Republiki Federalnej i z NRD odbywali konferencję pokojową, potwierdzili w gruncie rzeczy słowa ówczesnego przewodniczącego pisarzy RFNowskich Bernta Engelmana: „Powinniśmy definitywnie odciąć się od wszystkiego, co prowadziłoby do marzeń o odtworzeniu narodowego państwa niemieckiego”. Wystąpił Pan wtedy stanowczo przeciw oskarżaniu tych marzeń, upatrując w ich realizacji jedyną szansę odzyskania przez społeczeństwo NRD podstawowych swobód. Jaką prognozę stawia Pan zjednoczonym Niemcom?

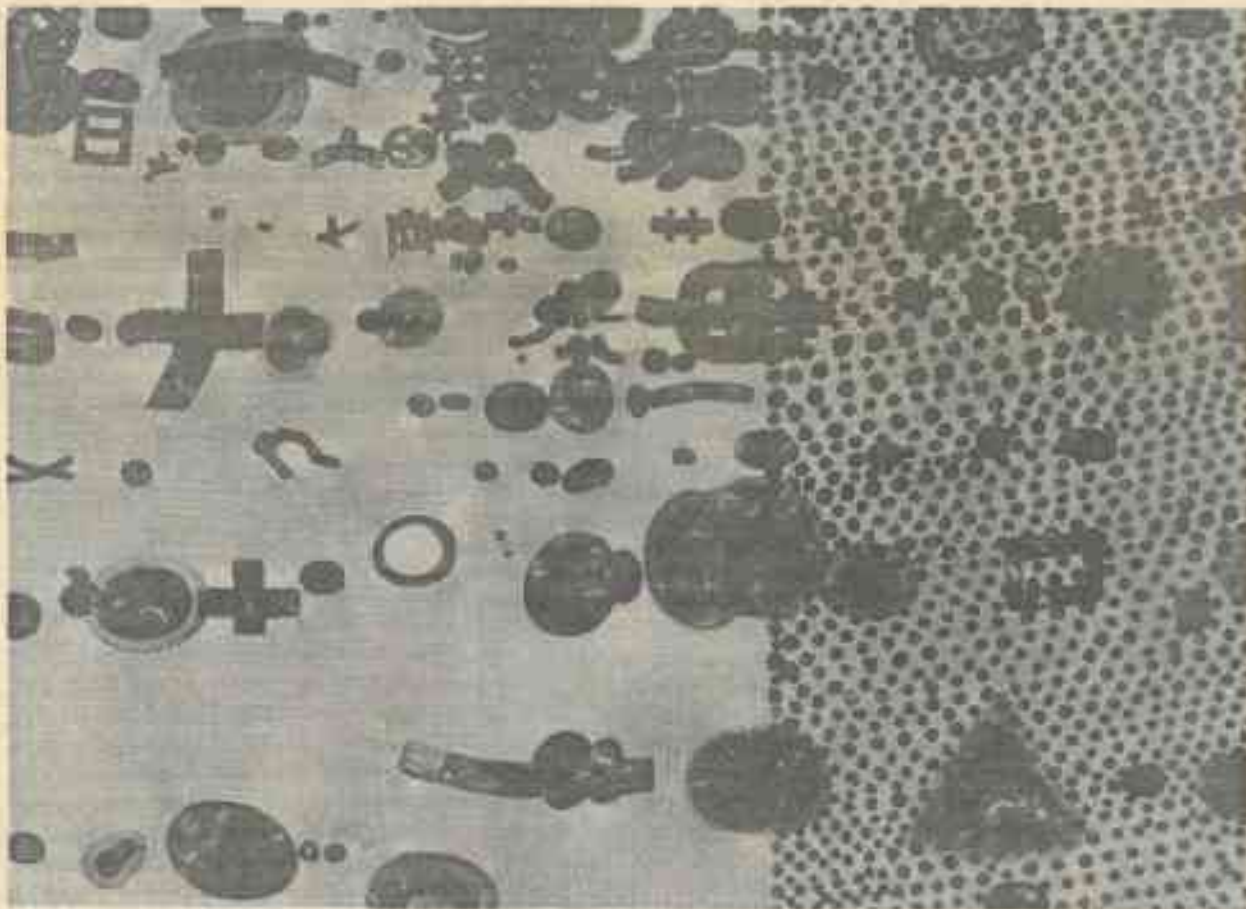
Reiner Kunze: Jeśli istnieje anioł historii, i – żeby pozostać przy tym obrazie – jeśli kiedykolwiek pobłogosławił Niemcy, to właśnie teraz. A to w dwojakim sensie: po pierwsze przez to, że istnieje Republika Federalna, pierwsza w Niemczech stabilna gospodarczo, pluralistyczna demokracja – po drugie zaś przez to, że ludzie w NRD wyzwolili się drogą pokojowej rewolucji.

Heinem próbują kleić teorię „noża w plecy”, wedle której Republika Federalna miała odebrać NRD szansę odnowy w duchu odrębnej, niemieckiej drogi do socjalizmu. Ten pogląd ma też wielu zwolenników w Republice Federalnej. Dlaczego niemiecki intelektualista ma takie kłopoty ze zjednoczonymi Niemcami?

RK: Niemiecki intelektualista jako taki nie istnieje, podobnie jak na przykład czeski. Ale istnieją pewne cechy, pewne szczególne schematy myślowe, które wśród niemieckich intelektualistów napotykam częściej niż wśród czeskich. Intelektualista niemiecki ma osobliwą skłonność do poglądów ujętych w zwarte systemy i trwa w nich niewzruszenie jak dzielny ołowiany żołnierz, i to taki, który nie stopi się nawet wtedy, kiedy poza jego systemem rzeczywistość stanie się piekłem. W Niemczech poglądy izolują ludzi bez reszty.

Czy ma Pan na to jakiś przykład?

RK: W roku 1989 na pytanie, dlaczego NRD tak uporczywie broni się przed reformami, pewna ważna osobistość z NRD odpowiedziała: „Należy pamiętać, że



JAN TARASIN

Dla Güntera Grassa owe zjednoczone Niemcy są „koszmarnym snem”.

RK: Dla mnie nie; tych bowiem Niemiec nikt nie powinien bać się, ponieważ wystarczająco mocne umysły dbają o to, żeby podstawą zjednoczenia pozostała demokracja. Bać się powinniśmy – my i nasi sąsiedzi – tylko tych, którzy dziś we Frankfurcie lub Berlinie Wschodnim wychodzą na ulicę albo czają się w ideologicznej zasadzce, żeby ukamienować anioła historii.

Czyżby dla tych, którzy dotąd uważali się za historycznych zwycięzców a teraz przegrali, walka trwała dalej?

RK: Ideologia komunistyczna będzie istnieć nadal. I nie należy sądzić, że poddadzą się ludzie, którzy teraz robią swoje w PDS, kontynuacja SED (Partia Demokratycznego Socjalizmu), ich sympatycy w Republice Federalnej i w ogóle wyznawcy tej ideologii na całym świecie. Oni czekają na moment, kiedy Gorbaczow upadnie albo na sytuację, w której odstępując od reform wprowadzi program własnej klęski.

Na te nowe Niemcy nie zgadzają się Stephan Hermlin i Stefan Heym. Wraz z Christą Wolf i Christophem

znajdujemy się w ojczyźnie myśli marksistowskiej, i że to Niemcy pierwsi przemyśleli wielkie filozoficzne kwestie”. Ten sam intelektualista, którego nazwiska wolałbym nie podawać, bo nie chodzi tu o tę osobę, ale o pewną postawę, powiedział w 1986 o własnym kraju tak: „Po co ta gadanina o ponownym zjednoczeniu, w które nikt nie wierzy, nie uważając go w głębi serca za potrzebne?” Dla niemieckiego intelektualisty ojczyzną jest ideologia – innej ojczyzny nie ma; prawdziwa zaś ojczyzna jest mu co najmniej obca. Powtarzam: mowa tu nie o wszystkich intelektualistach w Niemczech, ale o pewnym ich typie. I jak widać ma on też to do siebie, że myśli: naród to ja.

Do 1968 roku był Pan członkiem SED. Czy przynależność ta miała coś wspólnego z myślą, którą Josif Brodski sformułował tak: „Droga każdego pisarza zaczyna się osobistym poszukiwaniem świętości, poprawy siebie samego. Wcześniej czy później – z reguły wcześniej – piszący odkrywa, że jego pióro potrafi znacznie więcej niż dusza”. Również i Pańskie pióro w pierwszych dwóch tomach wierszy potrafiło więcej niż dusza. Kiedy dusza przestała się godzić na to pióro?

RK: Proces rozwiewania złudzeń zaczął się już podczas studiów w Lipsku między rokiem 1951 a 1955. Proces odchodzenia zakończył się właściwie w latach 1959/60. Ostatni krok dojrzał zanim go zrobiłem – było nim wystąpienie z partii w momencie wkroczenia państw Układu Warszawskiego do Czechosłowacji.

Co sprawiło, że zwlekał Pan aż dotąd?

RK: Możliwość bywania w Czechosłowacji, która dawała mi ulgę, choć tam też panował totalitarny reżim.

W Czechosłowacji poznał Pan żonę. Nikt nie zrobił w Niemczech tyle co Pan dla czeskiej poezji (ośmiennego kraju) i jej rozpowszechnienia. Również i Pana własna poezja byłaby nie do pomyślenia bez tej czeskiej inspiracji. Co tak Pana u sąsiadów zafascynowało?

RK: Intelektualista czeski nie jest tak oderwany od rzeczywistości i nie ma tych ciągów do abstrakcji. Znacznie bardziej żyje doświadczeniem. Hasło „Marksizm jest wszechmocny, bo jest prawdą” było i w NRD i w Czechosłowacji. Kiedy w Czechosłowacji można już było go nie wieszać, nie tylko znikło, ale i popadło w zapomnienie. Niemiecki intelektualista tej orientacji przesiał jego duchem, a to potrafi tylko ktoś wyjątkowo podatny na pryncypia i odporny na rzeczywistość. Jeszcze w połowie października 1989 na pytanie, co przede wszystkim powinno się zmienić w NRD, cytowana wcześniej osobistość odpowiedziała w pierwszym programie telewizji RFNowskiej: „Styl rządu w obcowaniu z narodem”. Jeśli to nie bankructwo intelektu, to już co najmniej skrajne oderwanie od rzeczywistości. Czy wyobraża pan sobie, żeby na przykład Vaclav Havel sprowadzał w takiej chwili sytuację w CSRS do kwestii stylu? To nie do pomyślenia.

Niech się więc inni intelektualiści nie dziwią, kiedy lud im nie ufa – w każdym razie nie ma to nic wspólnego z niechęcią do intelektualistów.

RK: Podczas powstania na Węgrzech w 1956 roku wspomniany intelektualista NRDowski skojarzył powstańców z „hordą przepędzonych białych”, z byłą węgierską SS i Palatynami Korony św. Stefana, i jeśli zgadza się cytować, który mam przed sobą, pisal: „Gdzie jesteście, robotnicy z Miszkolca, ..., którzy teraz dostrzegacie ślepią białogwardystów?” Toż to oskarżanie powstańców i wezwanie do przemocy wobec nich.

Człowiek, którego Pan ciągle cytuję, nazywa się Stephan Hermlin i jest na tyle dorosły, że powinien odpowiadać za słowa. Pisarz jak każdy człowiek może się pomylić. Ale czy ubierając tę pomyłkę w takie słowa nie dyskredytuje się raz na zawsze? Czy coś takiego można jeszcze pisarzowi wybaczyć?

RK: Wymaga to przynajmniej wiarygodnej skruchy. Nikomu nie mam za złe, że był tworzywem w rękach komunistycznych wychowawców albo że dał się tej ideologii uwieść. Ani nawet tego, że pewne rzeczy zrozumiał wyjątkowo późno. Tyle że są granice. Jeśli ktoś kto od razu nie wyciągnął konsekwencji, niech się dzisiaj nie dziwi, że ludzie przynajmniej to mu pamiętają.

Hans Noll, pisarz mieszkający w Berlinie Zachodnim, którego ojciec jest wysoko w SED, mówi o manii przynależności, o lęku pisarzy NRDowskich przed odrzuceniem.

RK: Lęk ten jest właściwy intelektualistom jako takim. Byt intelektualisty polega na tym, że przemyśliwa on świat pod kątem podstawowych zależności, że stawia pytania podstawowe dla egzystencji, że kwestionuje świat i budzi niepokój – w innych ludziach i w sobie. Intelektualista nie przysparza poczucia bezpieczeństwa – przynajmniej nie w pierwszej chwili – i sam nie czuje się bezpieczny. Tak naprawdę być intelektualistą znaczy być samotnym, odosobnionym. I może się zdarzyć, że ktoś chcąc zaznać poczucia bezpieczeństwa zdradzi intelekt, a potem musi w tym trwać, musi należeć; inaczej wzgardzą nim ci wszyscy, do których przedtem należał.

Martin Ahrands, żyjący na Zachodzie dziennikarz, również syn działacza SED, którego nazwiska się wyrzekł, broni tych autorów, co pozostali w NRD i powiada, że robili rzeczy możliwe zamiast chcieć niemożliwych.

RK: To by trzeba sprawdzić jeszcze raz, każdą postać z osobna. Jest rzeczą najzupełniej wyobraźną, że ktoś zostaje w NRD i jest bardzo porządnym człowiekiem, który albo milczy albo pisze tak, jak się da. A są autorzy, którzy zostając zamilkli, wyczerpaliby się, znaleźli w więzieniu albo zginęli w inny sposób

Kogo z tych, co zostali, darzy Pan szacunkiem?

RK: Pod tym czy innym względem wiele osób – pozwoli pan, że wymienię jedną osobę żyjącą: Wulfa Kirstena, i jedną nieżyjącą: Franza Fühmanna.

Co pańskie koleżanki i koledzy zrobili, żeby Pan i inni, którzy wyjechali nie byli całkiem nieznani dorastającemu pokoleniu?

RK: O ile wiem, nic. Większość tych, co zostali, przez przemilczenie ciągle na nowo pozbawiała nas obywatelstwa.

Co Pan sądzi o takim pojmowaniu literatury, jakie ujawnia reakcja Christy Wolf na film Bergmana: „Sztuka, która w takim świecie pozostawia człowieka samego... czyni go w końcu bezbronny wobec Oświęcimia”.

RK: To skandal, jakie się rzeczy wygaduje argumentując Oświęcimem.

Na kongresie pisarzy NRD w marcu mówiono o radykalnej odnowie Związku. Czy Pan ją dostrzega?

RK: Odpowiem pytaniem: Pewien pisarz NRDowski, od jakichś dziesięciu lat mieszkający w Republice Federalnej, pisze do redakcji „Neues Deutschland” i podejmuje się zająć opowiadaniem w niedzielnym numerze, ba, tutaj werbuje do współpracy z organem SED-PDS. Czy wyobraża pan sobie, żeby jakiś Czech na Zachodzie werbował ludzi nie do pisma, które zakładał Havel, ale do komunistycznego „Rudeho Prava”? Jakiej duchowej odnowy mogą się spodziewać po większości tych, którzy dziś po staremu należą do Związku Pisarzy NRD?

Kto to jest ten autor tu w Republice Federalnej?

RK: Karl-Heinz Jakobs.

Czy nie należy sądzić, że taki intelektualista ma w Republice Federalnej wielu potajemnych sympatyków?

RK: Czemu Pan mówi „potajemnych”? NRDowski Związek Pisarzy prędzej czy później stopi się ze Związkiem Pisarzy Niemieckich w RFN, i znów się oni wszyscy spikną – panowie Engelmann i Kant.

Czy Związek Pisarzy NRD nawiązał kontakt ze swoimi byłymi członkami w RFN?

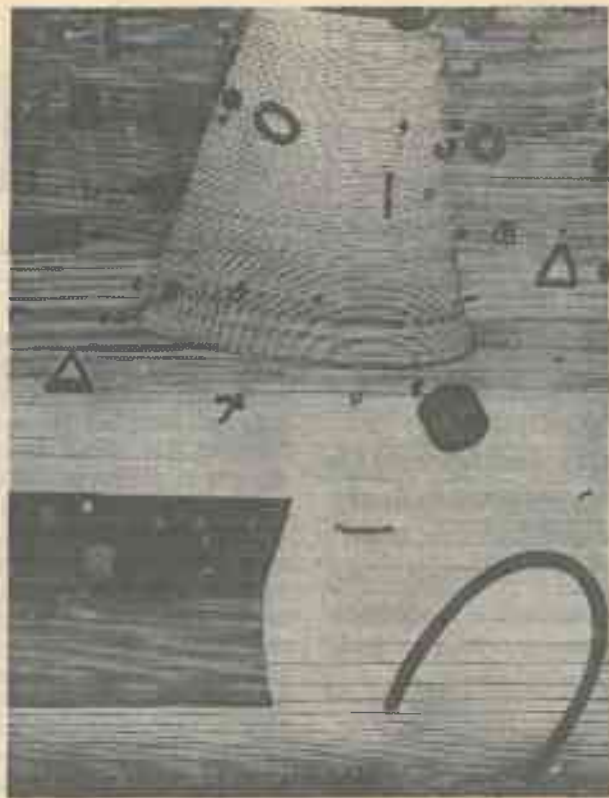
RK: Tak, nowy przewodniczący Rainer Kirsch napisał do mnie, i to było ładne – prawdopodobnie napisał do wszystkich, którzy wyjechali. Pytał, czy między innymi byłbym skłonny wziąć udział w podróży autorskiej organizowanej przez NRDowski związek. Odpowiedziałem mu, że chętnie zobaczyłbym się z tym czy innym kolegą, ale nie chciałbym być utożsamiany ze Związkiem Pisarzy NRD, który wciąż jest tym samym starym związkiem.

Inaczej byłby Pan kimś w rodzaju Karl-Heinza Jakobsa, który werbuje dla PDS.

RK: A kimże są ludzie z PDS? Jestem pewien, że wielu z nich przeżywa wielkie wewnętrzne konflikty. Ale kogo wybierają do prezydium? Znam tam kogoś trochę bliżej – jest to Klaus Höpcke, do roku 1989 zastępca ministra kultury NRD – i to znam go już od czasu moich studiów i asystentury w Lipsku. Prowadziłem wtedy zajęcia na Wydziale Dziennikarstwa. W roku 1956 zaproszono mnie do Berlina na spotkanie z pisarzami – niedługo po wybuchu powstania Węgrów. Po powrocie czekali na mnie Klaus Höpcke i Klaus Raddatz; zapytali: „No i co się tam działo w Berlinie? Ja na to, że Anna Seghers nie wyobraża sobie, żeby Georg Lukacs – wówczas będący po stronie powstańców – mógł być reakcjonistą; to on ją wprowadził do Partii Komunistycznej. Po tych słowach spojrzeli na siebie, i tego samego dnia po południu odbyło się zebranie instytutu – na temat ideologicznego podejrzanego wykładawcy.

W roku 1959 służba bezpieczeństwa prowadziła przeciwko mnie dochodzenie pod zarzutem powiązań z pewną kontrrewolucyjną grupą. Były to przesłuchania, o których nie wiedział nikt. Pomijając to, że zarzucane mi powiązania nie istniały. Raptem na Wydziale otwarto postępowanie przeciwko mnie pod zarzutem „powiązań z kontrrewolucyjną grupą”, i jako oskarżyciel wystąpił pan Höpcke. Skąd on mógł wiedzieć o tym zarzucie, jeśli nie od Służby Bezpieczeństwa? Kiedy podałem świadków obrony, przerwał mi krzyżąc: „Nie jesteśmy tu na jakiejś burżuazyjnej rozprawie, żeby powoływać świadków!”

W roku 1973, kiedy przyznano mi Nagrodę Literacką Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych i chodziło o to, czy dostanę paszport na wyjazd do Monachium, w Ministerstwie Kultury miała miejsce rozmowa, w której brał



JAN TARASIN

udział również pan Höpcke. Nie wiem, jak dalece była to ironia, a jak dalece chęć wybadania – w każdym razie dał mi do zrozumienia, że mógłbym publicznie przekazać tę nagrodę Palestyńczykom, którzy dokonali zamachu na sportowców izraelskich w czasie Igrzysk Olimpijskich w Monachium. Kwotę pieniężną połączoną z tą nagrodą zwróciłby mi rząd NRD.

Tenże pan Höpcke jest zapraszany przez koncern Bertelsmanna na sesję do Poczdamu i dziś służbowym samochodem z kierowcą zajechał na sympozjum Fundacji im. Friedricha Ebarta poświęcone twórczości Friedricha Wolfa. Człowiek, który aż do 1989 roku prześladował autorów NRDowskich w Republice Federalnej i pilnował, żeby nie uwzględniano ich na przykład przy ogólnoniemieckich wystawach książek. I tego człowieka wybrano do prezydium PDS bardzo wysoką liczbą głosów.

A dlaczego wszyscy zgodzili się na jego wystąpienie w Poczdamie – począwszy od Christy Wolf poprzez Stefana Heyma aż po Waltera Jensa, który sprzeciwiał się temu, żeby zachodni Niemcy dziennikarze krytykowali postępowanie NRDowskich intelektualistów?

RK: To pytanie niech pan zada Wolf i wspomnianym kolegom.

Aby uzasadnić istnienie drugiego państwa niemieckiego, jakim jest NRD, reżim SED przytaczał zawsze fakt, że w NRD znalazła ojczyznę literacka opozycja wobec „Trzeciej Rzeszy”. Mógł się w tym miejscu powołać na to, że większość „zapalonych pisarzy” aż po Else Lasker-Schöler pokładała nadzieję w socjalizmie. Ale czy polityczna praktyka nie okazała się kpiną z tego, o co niegdyś w opozycji przeciw faszystom walczyli pisarze?

RK: Nie sposób tego widzieć inaczej; sposoby traktowania człowieka w NRD były bowiem bliskie faszystom.

Czym Pan sobie tłumaczy to, iż rzekomo postępowi pisarze w Republice Federalnej tak długo odrzucali wielu

pisarzy, których losy rzuciły z komunistycznej sfery wpływów na Zachód?

RK: To też się chyba wiąże z ich zwartymi systemami poglądów: pisarzy antyfaszystowskich prześladowano z niedopuszczalnych pobudek, tych zaś, którzy nie chcieli podpisywać się pod zbrodniami komunistycznego reżimu – z motywów dopuszczalnych.

Jakie widzi Pan w Niemczech szanse na odtworzenie historii tego drugiego totalitaryzmu?

RK: Ulrich Grainer pisze w „Die Zeit”: „Nigdy nie widzieliśmy NRD takiej, jaka była naprawdę.” To zdanie sprawia mi wielką ulgę. Myślę, że zaczyna się tu dyskusja. Z tym, że nie sądzę, żeby dała duży skutek – pod tym względem jestem raczej pesymistą podobnie jak Frank Schirrmacher, który pisze we „Frankfurter Allgemeine”: „pewne fakty przemawiają za tym, że wielu ludzi wolałoby nic nie wiedzieć o tym drugim w naszym stuleciu totalitarnym grzechu”.

Czym Pan to sobie tłumaczy?

RK: Kiedy ideologię, a także utopię, trzeba nietkniętą przeprowadzić przez rzeczywistość, rzeczywistość się nas nie ima.

Rządowi NRD przewodzi hugenot, czyli człowiek, którego francuscy przodkowie znaleźli schronienie w Niemczech. Artysta, który został adwokatem, ale będąc artystą pozostał wierny muzyce. Jak pan go widzi jako polityka?

RK: Jak widać to szczęśliwy traf.

Kim jest dla Pana Willy Brandt, z którym wiąże się pojęcie polityki odprężenia, a który zarazem powiedział w 1988 roku te słowa o ponownym zjednoczeniu jako „wiecznym miecie drugiej republiki”. I później ta poprawka w okresie przelomu w NRD: „Teraz jednoczy się coś, co jest jedno”.

RK: Według tej drugiej wypowiedzi orientowało się zapewne wielu NRDowskich socjaldemokratów w tym, co się tyczy ich postawy wobec zjednoczenia. Ale i poza tym jest znacząca, wskazuje bowiem naturalność, normalność tego procesu.

A co Pan na tę pierwszą wypowiedź?

RK: W postawie SPD wobec SED i niesocjalistycznej opozycji w krajach niegdyś socjalistycznych bywały momenty mroczne. Ale inne partie też mają swoje mroki: może nie pora teraz bilansować minusy.

A plusy?

RK: Politycy miarodajnie zaangażowani w zjednoczenie obu państw niemieckich to demokraci – i my, i nasi sąsiedzi możemy im zaufać. Helmut Kohl, choćby nie wiem co robił, jest traktowany uszczypliwie – dzisiaj; później ocenić się będzie go z dystansem i z perspektywy spraw istotnych to, czego w tej sytuacji dokonał dla Niemiec i Europy. On zrozumiał historyczny wymiar swoich działań, i to nie od dziś i nie tylko dla Niemców i Niemiec. Rzeczą bezsporną jest polityczna roztropność Hansa-Dietricha Genschera, i w moim zaufaniu utwierdza mnie konsekwencja, z jaką Theo Waigel odmawiał rządowi Modrowa żądanych 15 miliardów, żeby teraz rządowi NRD z demokracycznym mandatem zaofiarować na pokrycie kosztów zjednoczenia dziesięciokrotnie wyższą sumę. I choćbyśmy na urząd prezydenta nie znaleźli żadnego pisarza, nie będziemy musieli się martwić.

rozmawiał Jürgen Serke
tłumaczył Jakub Ekier

(Rozmowę publikujemy za łaskawą zgodą Reinera Kunze.
Przedruk: „Die Welt” 2.07.90)

Andrzej Szmidt

...
mamy tę garstkę światła
chudą zziębniętą
do ociosania
na los na marzenie –

idziem powoli grają pobudki
my już przywykli
do melodyjek jak dym
zgarbieni zwykłością
szarością nad siły
kuśtykamy nie w rytm
pokraki niewydarzone
światła szkieleciki
na jawie nie we śnie
do szpiku prawdziwi.

IIAW



HENRIK WANER

Przez długi czas sprzeciwiałem się ogłoszeniu tych listów. Przekonano mnie powołując się na ich wartość archiwalną, jako że niewiele jest świadectw o stanie umysłów w czasach niemieckiej okupacji.

Listy te nie były oczywiście posyłane pocztą. Jerzy Andrzejewski i ja mieszkaliśmy na przeciwległych krańcach Warszawy – ówczesny koniec Al. Niepodległości i Bielany. Spotykaliśmy się w Śródmieściu, często w „Arii”, czyli „U aktorek” przy Mazowieckiej. W tej kawiarni Andrzej Panufnik i Witold Lutosławski grali na dwóch fortepianach, a barmanem był przez pewien czas nasz przyjaciel, reżyser filmowy Antoni Bohdziewicz. Jeżeli się nie mylę, tam to właśnie Waclaw Zagórski odebrał od nas przysięgę członkowską organizacji socjalistycznej „Wolność”.

Czesław Miłosz

Drogi Jerzy

W ciągu tego trzeciego roku wojny nieraz myślałem o pisaniu nowej „spowiedzi dziecięcia wieku”, jak to czynił sto lat temu z górą Musset, spowiedzi, która swoją gwałtownością i jakimś krzykiem bólu przewyższyłaby rachunki sumienia pozostawione przez tamtą romantyczną epokę. I sądzę, że nie zabrakłoby powodów do skarg i złorzeczeń na świat. Niechby czytelnik przyszłości ujrzał to i ogarnął: pierwsze moje wspomnienia z dzieciństwa, te długie szeregi wozów uchodzących na zatoczonych drogach, ryk gonionego bydła, luty 1914 roku, październik rewolucyjny w Rosji i znowu rok dwudziesty na terenach walk, a potem to dojrzwienie w zaślepionym i nieprzytomnym lucidum intervallum pomiędzy wojnami, ten uniwersytet, na którym ślepi i nieświadomi ludzie wykładali jakieś odpadki wiedzy, pozbierane w lamusie XIX stulecia. Żał mi tego milczenia, które okrywa górą i jakże durną pierwszą młodość w Wilnie moją i moich przyjaciół, nasze marzenia o rewolucji, zakończone dla wielu z nas latami więzienia. Żał mi, że nie rozlegnie się głos, który by opowiedział, jak straszliwą pustynią jest społeczeństwo pozbawione poczucia tragizmu, jak na tej pustyni nawoływało paru ludzi takich jak Marian Zdziechowski, nie rozumianych przez tę młodzież, z którą mogłoby ich połączyć to samo zrozumienie grozy nadchodzących wypadków, a od której dzieliło ich nędzne i pozbawione poczucia tradycji wychowanie tej młodzieży. Zaiste, tu „gdzie każdy czyn za wcześniej się rodzi, ale każda książka za późno”, warto byłoby opowiedzieć własne i nie własne winy, ów rumieniec wstydu, gdy w dniach marszu na Zaolzie kazano mi układać komunikaty radiowe, a ja nie plunąłem na to i nie powiedziałem „nie” – przez ten sam brak odwagi cywilnej, który miliony Europejczyków zaprowadził na samo dno hańby. Warto by było opowiedzieć jakimi drogami moi przyjaciele doszli, po wkroczeniu wojsk sowieckich na Wileńszczyznę do zdrady wobec własnej ojczyzny i honoru i o tym, jak stara Żydówka na rumuńskiej granicy dała mi kromkę chleba i zapytała czemu prowadziliśmy beznadziejną walkę – a ja nie mogłem znaleźć innej odpowiedzi i miałem słuszną – niż to wyświechtane słowo „honor” i jak skrzywiła się wtedy w gorzkim uśmiechu i jak mówiła: Tss, tss, honor, honor, a tysiące zabitych kobiet, dzieci, to honor!” Może o tym wszystkim kiedyś opowiem. Ale raczej wątpię. Za wiele w tym byłoby krzyku i patosu, za wiele zaciekleści, którą można z siebie wydobyć bezkarnie tylko wtedy, gdy burzymy coś nienawistnego, co nas przygniata, gdy wydajemy z siebie głos, aby protestować przeciwko

plaskiemu spokojowi jakiejś otłuszczonej dobrobytem epoki. Ale kiedy jest się na ruinach Europy, ruinach dotkliwszych o wiele w sensie duchowym niż fizycznym, co burzyć i po co burzyć? Zło, przeciwko któremu mógłbym się buntować, objawiło się samo w całej okazałości, przekroczyło oczekiwania i analizy. Nie trzeba już go tropić i ukazywać jego przebrania oczom ludzkim. Jest dotykalne, bliskie i nie słowa tu mają pierwszeństwo. Toteż cały mój wysiłek zwraca się raczej ku budowaniu, jeżeli nie nowych gmachów nieznanego jutra, to przynajmniej fundamentów, ku nowemu systematycznemu wątpieniu, które mogłoby wydobyć nieliczne wartości godne ocelenia i rozwinięcia. I oto w lament, zaciekleść, gniew i ból wkrada się nowa nuta, nuta spokojnej rozważki, może ta sama, która chińskiemu poecie XVII wieku kazała w więzieniu napisać to zdanie: „Wśród burzy która mnie obaliła piszę płacząc pogodne poezje”. W obliczu rzeczy prostych i elementarnych w życiu ludzkim, w obliczu cierpienia fizycznego i śmierci nie ma sensu bawić się w chowanego z samym sobą. Ruina duchowa, która przypada w udziale Europie, nie ominęła i nas, a raczej najpierw dokonała się w nas (pojmuj to jak chcesz, wężiej czy szerzej) a tamto przyszło jako nieunikniony skutek. Szczęśliwy, kto tego o sobie nie może powiedzieć – ale przyznam się, że będę go podejrzewał o nieszczerłość, albo zwątpię o jego samowiedzy. Tak, „poznaj samego siebie” jest dzisiaj trudniejsze może niż kiedykolwiek. Człowiek lubi wierzyć. Jeżeli w coś wierzyć przestał lubi wierzyć, że jeszcze wierzy, jeżeli w coś wierzyć jeszcze nie zaczął – zachowuje się tak, jakby już wierzył. Jakże trudno jest patrzeć jasno na siebie i innych, nie okłamywać się, nie tworzyć mitów. Od pewnego czasu na tym koncentruję swoje siły, ale często ogarnia zwątpienie, czy temu jasnemu patrzeniu można poddać. Niedobry, niedobry czas. Może nie gorszy od innych, a w każdym razie trzeba go przyjąć takim jaki jest, z dobrą wolą, z afirmacją, powiedzieć „tak” na cierpienie które ze sobą przynosi, zgodzić się, że tak właśnie żyć mi wypadło i nie ma na to rady. Czas (może tak go ujmą jakieś przyszłe pamiętniki) w którym modlono się, chociaż niebo było puste, bez tronu Boga-Ojca, bez rzesz anielskich, bez gromu, gotowego porazić nieprawych. Czas, w którym uprawiano jeszcze filozofię, choć stała się ona grą wtajemniczonych, ucieczką rabinów logistyki, a przestała być boską rozrywką mędrców. Czas w którym tworzone jeszcze sztukę, płacąc całym życiem za błahe i szybko zapomniane zestawienia kilku barw, kilku wyrazów i na próżno usiłowano wytropić wielkość, odległą o tysiące mil od tego

szczętkowego procesu, zwanego sztuką współczesną, owego dziecka rozpaczliwych irracjonalizmów. Czyż mam zresztą nazywać, określać! Nie moja to sprawa. Niechże tam sobie historycy kultury zmierną te głuche pomruki dziejów poprzedzające wielkie widowisko, w którym nagromadzone bogactwa optymistycznych teorii, hipotez, pomysłów, tak żywych w ubiegłym stuleciu, ukazały się zdumionym oczom ludzkim jako stos próchna i słomy – przysłowiowy skarb skąpca wyniesiony nagle na światło dzienne.

I oto w tym czasie daremno i gorączkowego przymierzania wszystkich starych kostiumów, którymi próbowano pokryć żalosańską nagość, wypadło żyć. Robaczka i rozpadła się socjalizm, ginęła idea demokracji, wysychał na mumię katolicyzm, pokostowany i lakierowany od wierzchu, znów modny wśród elity, grzęzła w konwencjonalizmie i fikcjonalizmie filozofia, a marksizm „generalnej linii” bezlitośnie naigrawał się nad „dogniwaniem” zachodniej Europy – wyrodny syn, naznaczony tym samym piętnem choroby i zwyrodnienia, co matka, która go wykłosała rękami Hegłów i Marksów. Wśród tego zamętu unosiły się wezwania poszukiwacza tzw. wielkiej idei („Nam na gwałt potrzeba wielkiej idei”), zakłęcia wzniosłych szarlatanów, którzy „ideę” pojmowali jako środek oddziaływania na tłumy, środek zelektryzowania tych tłumów i poprowadzenia ich na oślep ku bardziej przyziemnemu niż owa idea celowi. Cokolwiek ze świata idei nie miało bezpośredniej wartości użytkowej, co nie służyło natychmiastowemu działaniu – było odrzucone, niepotrzebne, śmieszne w swoim zawieszaniu i oderwaniu. Do ludzi takich jak ja i ty, którzy kształcili się i przygotowali do pracy w dziedzinie myśli i sztuki – a nie czynu – przyszli z hałasem, obrzucając obelgami za odosobnienie, osamotnienie, brak kontaktu z masą. Ach wy, intelektualści – mówili z pogardą – czemuż nie opowiecie się po jakiejś stronie, teraz, kiedy walka dzieli świat i trzeba stanąć na tej lub tamtej barykadzie, czemuż nie podporządkujecie swojego życia idei przeksztalcającej ziemię, czemuż nie jesteście chorążymi i doboższami nowych ruchów! Cwierkanie na uboczu dzisiaj jest niepotrzebne, ma wartość tylko człowiek, który stanął w szeregu. A wy, wy zawieszani w próżni, oddarci od korzeni, z przyzwyczajenia powtarzający kilka starych frazesów o humanitaryzmie, o prawach człowieka – frazesów, które legły w grób razem z kadetami, broniącymi Zimowego Pałacu w dawnym Petersburgu – cóż wy za złudzenia hodujecie, śmieszni jak stary Wierchowienkij z *Biesów*, gdy nie mógł znieść że para butów jest bardziej użyteczna niż Madonna Rafaela. Wy, młodzi, a jeszcze trzymający się kurczowo tego co w waszych oczach ginie i kona, rozprawiający snobistycznie o Flaubercie i Baudelaire, o samotnych twórcach, tworzących wbrew opinii swoich współczesnych, wy coście wzięli ich za wzór: wiecie może już teraz jaki los spotyka dzisiaj takich arystokratów ducha! Przychodzi wróg i jedna kula, albo pałka oprawcy niszczy subtelny mózg, nie poczęte dzieła. Gdyż co woła w dzisiejszym człowieku, to nie jest żadna tęsknota urodzona w wypielegnowanym intelekcie – to krzyk: żyć, żyć za wszelką cenę, a ci co żyć pragną, muszą się jednoczyć, poświęcając wszystko.

Cóż można odpowiedzieć na taki szantaż ideowy, na przyparcie do muru, w którym istnieje już tylko „nie” albo „tak”? Licytować się i rzucić jeszcze bru-

talniejsze, jeszcze bardziej oczywiste i uproszczone hasło! To na nic. Dialektyka wielkich prądów totalnych, urobiona w diabelsko sprawne i dostosowane do najprostszycy umysłów narzędzie nie da się złamać żadną argumentacją. A jednak, jak wiesz byłem w Rosji i gdy komunista rozłącza przede mną swoją żelazną dialektykę, wzruszam ramionami, bo wierzę bardziej swoim oczom, niż jego racjom. A jednak parę lat już żyję pod panowaniem „narodowej rewolucji” i gdy ktoś zaczyna wielbić totalizm, patrzę na niego jak na wariata. Jest więc może w człowieku jakaś instancja, której nie uwzględniają tamte prądy, instancja która zakłada veto wobec rzekomo niemożliwych do obalenia argumentów. I choć tyle spraw i wiar legło dzisiaj w ruinie, nie wszystko być może obróciło się w pył, jest może jakaś podstawa, na której wolno się oprzeć. Odnależć ją i chociażby ogólnie określić – oto być może zadanie ludzi dobrej woli, którym nie sądzono żalować tego co minęło ani ubolewać nad tym co jest, ale myśleć o przyszłości, chociażby nie własnej. Mam odwagę przyznać się, że nie jestem wyznawcą żadnej tzw. idei, a w każdym razie żadnej z będących obecnie w obiegu. Nie sądzę, aby jedynym lekarstwem na narkotyki najprzeróżniejszych mitów, był nowy narkotyk, silniejszy od poprzednich. Być może jestem przez to godzien potępienia i pogardy. Ale zbyt wiele widziałem niszczących skutków wielkich zbiorowych haseł „dynamicznych”, zbyt wiele krwi, którą znaczą swoją drogę – abym zdołał być im zaufać. Tzw. jednolite światopoglądy tym tylko są jednolite. Że trudniejsze i bardziej zawiślane miejsca uzupełniają zaślepieniem, uproszczeniem i manią. Nie mam zamiaru układać dla siebie katechizmu czy wyznania wiary, albo podpisywać się pod którymś z istniejących. Aha, powiedzą na to – anarchiczny indywidualista. Bynajmniej. Te nazwy, te etykiety równie tracą dzisiaj znaczenie, jak cały repertuar zeszłego stulecia. Chciałbym jedno: być człowiekiem. Jest to i bardzo dużo i bardzo mało, podejrzewam jednak, że więcej, niż być komunistą czy rasistą, czy liberalnym demokratą. Wspominałem o owej instancji, która sprzeciwia się wrzaskowi doktryn, chociażby były one gładkie, potoczyste, nieprzeparte i mądre złą mądrością nieszczęsnych – *excusez le mot* – synów ziemi. Ta instancja – ziarno mądrości i etycznego sensu – nie jest na pewno tylko moim udziałem. Odnajduję ją w starej kobiecie, która lituje się nad dzieckiem żydowskim, odnajduję ją w oprawcy, który zawaha się chwilę przed morderstwem. Nie, tego nie da się nazwać złudzeniem. I nie jest to rzecz błaha i banalna. Gdyż zmierzyc tą miarą prądy myśli i dzieła sztuki – tą miarą, która została zapomniana i odrzucona, zanim nie spłonęły bogactwa, zanim nie zaważyły się stolice, a człowiek znów, przywrócony pierwotnej nagości nie pojął, że tym tylko różni się od zwierzęcia – o, jest to praca dla pokoleń myślicieli i artystów.

Na to odzywa się już demon naszej epoki, demon skuteczności i akcji bezpośredniej. Aha, więc humanitaryzm, podniosły i szlachetny. Znamy to, znamy. Po wojnie 1914–1918 roku też wołano chórem: nie zabijaj, układano pacyfistyczne manifesty. I te chóry szlachetnych, brzydzących się rozlewem krwi pięknoduchów właśnie przygotowały nową i okrutniejszą wojnę, rozbroiły demokrację Zachodu, dały w rękę miecz szalonym i nie umiały wytrącić go z ręki. Nie, kto pragnie pozwolić ludziom żyć – musi uzbroić się

JERZY ANDRZEJEWSKI □ korespondencja [1]

w bezlitosność i zaciełość, i nienawiść przeciwko tym, którzy pozwolili na życie nie chcą. Musi zapomnieć o niejednym pięknym przykazaniu właśnie w imię tego, aby w przyszłości lepsza i szczęśliwsza ludzkość mogła je stosować. A zatem idzie konieczność idei technicznie sprawnych, zdolnych uporządkować i trzymać w korbach społeczności ludzkie – podczas gdy humanitaryzmowi na imię – słabość. Demon używa znanych i wypróbowanych sposobów. Zważ, jak niechętnie przykleja nalepkę, jak chętnie w swoim

niem łańcucha wysiłków, porządkujących myśl europejską, ale dodatkiem, piękną gałązką zatkniętą na szczycie dziesiętnastowiecznego gmachu – a miała ona zakryć przykre i wielkie pęknięcia wywołane przez tamtą wojnę. Byli zapewne zanadto optymistami i bądź co bądź holdowali przekonaniu, wpojonemu im przez nauczycieli, o harmonijnym i ciągłym postępie – ostatni wyznawcy słowa „postęp”, wytartego z dzisiejszych słowników. Pamiętaj, zapewne typowe pod tym względem „Ostrzeżenie dla Europy” Tomasza Manna.

mem, humanitaryzmem, czy jak kto chce do woli – nie zmieni to nic w ocenie tej jedynej deski ratunku, jedynej wyścieś, które narzuca historia. Demon powiada: słabość. Nie wiem, przyznam się, co jest słabością a co siłą. Wiem, że szukam kamienia probierczego, że chciałbym zacząć budować rzecz trwałą – a czyż można budować rzecz trwałą, gdy celem jest nie prawda, lecz siła! Nieliczne i najbardziej przenikliwe umysły tego czasu pojęły, że chorobą współczesnej kultury jest wyrzeczenie się prawdy na rzecz działania – sprzeczność zdawałoby się absurdalna, potworna – a przecie przyobleczone dzisiaj w ciał. Kultura ta, jak Pilat, zapytała: „Cóż jest prawdą” i umyła ręce. Słabość! Czyż nie warto poczekać na ostateczny obrachunek, aby o tym wyrokować? Czyż siła nie okazuje się nieraz słabością, czy w milionach istnień ludzkich nie może odezwać się to samo pragnienie, które czuję w sobie! A wtedy! Słabość. Nie mam zamiaru uchylać się, uciekać od zagadnienia słabości. Przeciwnie, urasta ono dzisiaj w zagadnienie pierwszorzędnej wagi. Cała „dobra” Europa, Europa tradycji humanistycznych, której dzieje pełne są okrucieństw i zbrodni, ale przecie nigdy nie pochwalanych otwarcie – ta Europa okazała się śmieszna, bezsilna, niedołężna. „Zła” Europa, Europa otwarcie uwielbionego bezprawia narzuciła swoje zamiętanie do efektów jaskrawych, narzędzi gwałtownych, idei ułatwionych, wziętych w monopol przez urzędy propagandy. Kogoś, kto przemawia jeszcze językiem dobrej Europy ludzie słuchają z przyjemnością, ale zarazem z niedowierzaniem. Brzmi to jak bajka o Wyspach Szczęśliwych opowiedana w wieku bombowców i czołgów, brzmi to jak słowa Ewangelii, którą może pastory czytają swoim żołnierzom na pobojowiskach Rosji. Zgódźmy się, że brzmi to mdło, nijako, że wydaje się niemęskie i naznaczone hipokryzją. Ale w tej walce zła z prawem moralnym w człowieku nie wynaleziono jak dotychczas wyrazów, które by potępiały czynienie krzywdy bliźniemu i brzmiały zarazem jak dźwięk trąb bojowych – nie wynaleziono przynajmniej od czasu, gdy umilkł żydowski Jehowa mściwy i gniewny, a zastąpił go słaby i łagodny Chrystus. I jeżeli resztki dobrej Europy odznaczają się hipokryzją i nadużyciem humanitarnego frazesu – nie za to godne są potępienia, gdyż lotr wstydzący się swoich czynów więcej wart jest od lotra przechwalającego się ze śmiechem. Mój drogi, nie bierz tych moich słów za manifest i nie używaj im zbyt programowej barwy. Wśród zniszczenia chciałbym tylko zobaczyć coś, co się oparło zniszczeniu a wydaje mi się, że nie wszystko jeszcze stracone. Ta epoka doprowadziła wszystkie zasady, wszystkie prądy do ostatecznej konsekwencji. I w tym właśnie może jest nadzieja. Zanim dojrzały owoce w ogrodzie myśli, spokojni ogrodnicy pozwalali rosnąć wszystkim gatunkom drzew. Ale gdy owoce na niektórych drzewach okazały się zatrute, czyż nie potrafią już gatunków rozróżnić? A nawet gdyby obłąkani ogrodnicy zaczęli utrzymywać, że zatrute owoce są najsmaczniejsze, najdrowsze i wołali chórem: któż i jak nam udowodni że są zatrute, skoro nam znakomicie służą – czy byłaby to dostateczna racja do zwątpienia w wyczucie normalnego człowieka!

22 VIII 1942

Kochany Czesławie,

tyle różnych spraw poruszyłeś, jedne szerszej rozpatrując i dokładniej, o inne zaledwie zatrącając, że doprawdy, gdy przychodzi mi odpowiedzieć, w kłopotcie jestem, co z tego gąszczu refleksji, uogólnień, odczuć i wątpliwości podjąć, a co pominąć milczeniem. Szczerze mówiąc pragnąłbym podjąć wątki wszystkie, żadnego nie pominąć, bo gdy jedne zachęcają mnie swoim sensem i dalszymi perspektywami, inne budzą wątpliwości o różnych odcieniach aż do stanowczego sprzeciwu włącznie. Zdaje się, że trudno o pierwszą reakcję inną, bardziej – powiedziałbym – chłodną, już z pierwszym odruchem niosącą umiejętność selekcjonowania i hierarchizowania. Czas, w którym żyjemy, a także doświadczenia lat ostatnich, przedwojennych i wojennych, uczyniły nas specjalnie wyczulonymi na ludzkie głosy, zarówno te, które rozbrzmiewają donośnie znajdując słuchaczy na całym świecie, jak i te, które jak Twój – dźwięczą samotnie, w tej chwili w dwugłosie. Bezmiar ludzkiego cierpienia i równy mu bezmiar najnikczemniejszych instynktów człowieczych prowadzą nas jeszcze dalej w głąb rozgrywającego się widowiska i wyobraźnia, często wbrew naszej woli, zmusza nas do niepokojącego wsłuchiwanie się nawet w te ludzkie głosy, których szept czy krzyk rozbrzmiewa daleko poza nami, na polach bitew, w więzieniach, w obozach i pod dachami nieznanych nam istnień. Jeśli o mnie chodzi – znajduję w sobie dość wiele niewiedzy i wątpliwości, a jednocześnie dosyć potrzeby i pragnienia zdobycia bodaj skrawka wiedzy umacniającej grunt pod nogami, a spojrzeniu dającej spokój, abym umiał, mógł czy chciał – według uznania użyć jednemu z tych czasowników pierwszeństwa – oprzeć się na sobie samym w nadziei, że tam i tylko tam znajdę siłę, której potrzebuję, oraz instancję, która rozjaśniłaby to, co mi się wydaje ciemnym, a rozwikłała to, co sądzę nierozwiązalnym. Jeszcze do niedawna mniemałem, że samotność, której kręgu przekroczyć niepodobna, jest jedynym i ostatecznym udziałem ludzkiego losu od chwili pierwszych przebłysków samodzielnego myślenia aż po ich godzinę ostatnią. Patetyczne zdanie Conrada o życiu i umieraniu samotnym wydawało mi się prawdą, którą potwierdzało i moje własne doświadczenie wewnętrzne i spojrzenie na życia innych ludzi. Dzisiaj nie jestem tego tak pewien. I raczej skłonny byłbym mniemać, że wbrew temu, co naszym oczom ukazują nienawiść, pogarda i okrucieństwo, wbrew znu i zniszczeniu, łączy przecież ludzi głębsza niż by się zdawało solidarność, głębsze braterstwo, o wiele głębsze, od trzech tryumfalnych hasel Wielkiej Rewolucji. Myślę, że należy u ludzi szukać pomocy i że ją można u nich znaleźć. Twierdziłbym również, że ciężarem samotności tak tragicznie przygniatającym człowieka ostatnich lat, człowiek dobrowolnie sam siebie obarczył, co więcej: począł to beznadziejne piętno uważać za wyniosły znak wyróżnienia i tragiczną dumę. Ponieważ człowiek zawsze i wszędzie jest zdolny do bohaterstwa, więc i zaklęty urojeniami krąg samotności zamknął bohaterstwo niejedno, raz w dziele sztuki, kiedy indziej po prostu w życiu. Lecz poczekaj, mój drogi, widzę, że zaczynam z nadmierną szybkością odbiegać od Twojego listu, to niedobrze tak płynąć na zagadnieniu, jak na kajaku po bystrej

dokończenie na s. 12



MIŁOŚZ

JACEK GAWŁÓWSKI

szantażu posługuje się zaliczaniem do jakiegoś szeregu, w jakim lekceważeniu ma wyobraźnię, która potrafi przecie przedstawić formy współżycia inne niż dotychczas się zdarzyły. Ziarno mądrości i etycznego sensu nie jest łatwe do pielęgnowania – to pewne. I wielki błąd popełnili tamci ludzie dobrego serca, gdy sądzili, że uda się wypłenić krzywdę i cierpienie automatycznie, przez rodzaj kazań, pouczeń i ostrzeżeń. Byli pacyfistami, na ropiejące wrzody Europy przyklejali plastry roztkliwiań się i sentymentów. Zdawało im się, że wojna i tylko wojna godna jest najwyższego potępienia, że jest ona nieporozumieniem, po którym trzeba zatrzeć ślady, powrócić do dawnych dobrych przyzwyczajęń, zachowując w muzeach i książkach pamiętki po niej, jako wieczną przestrożę dla następnych pokoleń. Nie wydawało im się, że prądy umysłowe i społeczne mogą nosić w sobie zalążek zbrodni. Na cios z tej strony nie byli przygotowani. Głusi na opowiadania rosyjskich emigrantów, na rewolucję rosyjską przynosili ciepłe uczucie, jakie żywili dla starej rewolucji francuskiej, a i faszyzm nie wywołał w nich niepokoju. Ich humanitaryzm nie był początkowym og-

Rozwijanie owej szczypty zdrowego sensu, sięgnięcie do prawa moralnego w człowieku, wymaga przenikliwego umysłu i bliskiej łączności z doświadczeniem. A doświadczenie ostatnich lat trzydziestu nie jest z gatunku tych, które nie pozostawiają żadnych śladów. Powtarzam – jest to praca zasadnicza, nowa praca o podstaw, zupełna rewizja idei, a nie tylko ich zastosowań. Gdyż na nic się nie zda wytrwały trud najlepszych nawet kaznodziejów, jeżeli obok rozwijają się i szerzą swobodnie swoje poglądy złe duchy zbiorowości, jakis Nietzsche, jakis Sorel czy André Gide, a Bergson czy Freud obracają w proszek powagę ludzkiego rozumu, gdy liberalna pobłażliwość zezwala na rozkwitanie najbardziej złowrogich doktryn, sprzecznych z elementarnymi wymogami sumienia. Praca o jakiej mówię nie doprowadzi w ostatecznym wyniku – i nie powinna – ani do powszechnego rozbrojenia – tej groźnej fikcji, wytrącającej broń z ręki stróżów prawa a dającej ją w rękę złoczyncom, ani do kapitalistycznej demokracji, ani do kubistycznej sztuki, ani do filozofii padającej plackiem przed „prawami życia i krwi”. I można to nazywać humaniz-

górskiej rzece. Interesujące może być się wprawdzie odsłaniały pejzaże, uroków i pokus wiele taka droga niesie, że nam przystoi obecnie raczej podróż piesza i to nie nazbyt wyciągniętym krokiem. Zatem więcej spokoju, nikt przecież nas nie goni, prócz własnej niecierpliwości, a ta wiadomo jak niepewnym jest przyjacielem. Aby skończyć z pokusami powiem, nawiązując do tego, o czym napomknąłem na samym początku, że nic innego jak właśnie potrzeba i wysiłek otworzenia siebie na świat zewnętrzny, utrudniają mi uporanie się z twoim listem. Przypominając ładną historię o osie kuszonym dwoma pokarmami, można w podobnej co moja reakcji znaleźć i odwrotną stronę medalu. Trudno. Bo poza zainteresowaniem różnorodną treścią, ciekawia mnie Twój list jeszcze, jako pewien fragmentaryczny przejaw ludzkiej osobowości, a tą, jak się domyślasz Ty jesteś w tym wypadku. Noszenie w sobie dwóch sprzecznych wizji świata: jednej potępiennej, zanurzonej w ciemnych oparach eschatologicznych, a drugiej przeciwstawiającej się jak gdyby z marmuru wykutym doskonałym kształtem mądrości i harmonii, przynasz, że to wcale ciekawy przedmiot do psychologicznych dociekań, więcej – dociekań, które mogłyby z powodzeniem posłużyć do odskocznicy do zastanowienia się nad typem sprzeczności współczesnego człowieka, współczesnego – określimy ściślej – intelektualisty. Już widzę zaniepokojenie na Twojej twarzy. Ale nie bój się, nie zabiorę się do Ciebie, jak do świnki doświadczalnej, choćby mi nawet niejasne przecucie podszeptowało, że mógłbym na tej drodze dojść do pewnych wyników. Nieszczęsny takt zahamowuje mnie przed tym eksperymencem. I nie bez akcentu zazdrości muszę wspomnieć, że Witold Gombrowicz, jeśli się nie odmielił pod „modrym niebem Argentyny” bez wahania wzięły Cię na stół doświadczalny. Co do mnie, rezerwując sobie tę sposobność na użytek tak ściśle prywatny, że nawet nie utrwalony na papierze, zajmę się samymi zagadnieniami. Pokrótkę zastrzeżenia i wątpliwości.

Otóż nie martwiłbym się, gdybyś nowej spowiedzi dziecięcia wieku nigdy nie napisał. To bardzo niebezpieczne wydawać świadectwo pokoleniu zachowując wobec zdarzeń postawę liryczną, nie epicką, która jedyna wskrzesza ludzi i sprawy w ich wymiarze obiektywnym i do prawdy zbliżonym. Wołę, gdy o Napoleonie pisze Stendhal, niż Musset, *Spowiedź dziecięcia wieku* nudzi mnie śmiertelnie, za to *Czerwone i czarne* i *Pustelnia Parmeńska* należą do najulubieńszych moich książek. Po latach może i mógłbyś powołać do życia lata swojego dzieciństwa i młodości, Wilno i tamtejszych przyjaciół, czasy tyłu nieporozumień, tragicznych powikłań – tak, po latach, lecz patrząc już na te czasy, na tych ludzi i na siebie samego z dystansu czasu i nigdy stylem, którym piszesz o tamtych rzeczach teraz. Nasze czasy są trudne, splątane, są rozżarzone do białości, są obolałe. Dużo ran od lat otwartych, złośliwie się jęczących, dużo nowych. Wejść w tę mroczną otchłań, stąpać po pogorzeliśkach i popiołach, oglądać pożary wszędzie niosące płomienie, słuchać ryku rozjątrzonych ludów i tyłu głosów rozpacz i cierpienia, a może zejść jeszcze głębiej, gdzie już tylko milczenie budzi grozę, i cóż! Być w tym i pisać o tym! Nie, myślę, że trzeba wyminąć czas swój, aby o swoim czasie pisać. Trzeba w pewnym sensie zdobyć się na nieczułość. Zrozum mnie dobrze. Nie myślę o oschłości. O jakimś spojrzeniu obojętnym, prawie nieludzkim. Nie. Chodzi mi o nieczułość na swój czas. O starcie najbardziej obolałej warstwy wyczulenia i wrażliwości. O zamknięciu uszu na płacz matki, której jedynego syna zamęczono w więzieniu. Nie słyszeć, nie widzieć milionów cierpień obecnych. Ominąć obojętnym wzrokiem człowieka, który cierpi teraz, i tak będąc uodpor-

nionym na świat, dojść w sobie do wspólnoty z ludźmi, jako ludźmi w ogóle, nie wspólnoty z takim czy innym człowiekiem, lecz wspólnoty z ludźmi – powtarzam – w ogóle. Współczuć, nienawidzić, dzielić winy, oczyszczać, potępiać – tak! Ale poza człowiekiem, który realnie istnieje i realnie domaga się współczucia, dzielenia winy lub budzi realną nienawiść. Jestem głęboko przekonany, że tworzyć człowieka w dziele sztuki i żyć z człowiekiem jak z człowiekiem to jest, niestety, coś bardzo różnego.

Ale to tylko marginesowe uwagi, aby Ci z grubsza wyjaśnić, dlaczego myślę, że Ty, który jesteś konstrukcją psychiczną najgłębiej liryczną, nie zdołałbyś trudnym latom swojej młodości wymierzyć „najwyższej sprawiedliwości... wielorakiej i jedynej, ukrytej pod wszelakimi pozorami”. W charakterze marginesu przyjmij również mój odruch przykrego zdziwienia, gdy czytałem Twoje wspomnienie z rozmowy, jaka w pamiętnym wrześnie przydarzyła Ci się na granicy rumuńskiej ze starą Żydówką. Myślę, tak jak i Ty, że słowo „honor” podobnie jak wiele innych „dobrych” słów zostało wyświechtane, lecz tylko od mówiącego zależy przywrócenie mu godności. Mam nadzieję, że czy w tym liście czy w którymś z następnym nadarzy się okazja pomówienia o tym szerzej i silniejszego zaakcentowania, jak to ludzie przez Ciebie nazywani „dobrej woli” panicznie się lękają „dobrych” słów i „dobrych” uczuć, jak łatwo pozwolili się zaszantażować zgiełkiem zbrodniarzy na głos wykrzykujących: wolność, honor, sprawiedliwość, cnota, bohaterstwo! Jak z nadmiernej wrażliwości ustąpili ze swoich stanowisk oddając na pastwę nikczemnych najcenniejszą swoją broń. Dalej: nie jestem pewien, czy „wysycha na miążgę katolicyzm” i czy wiara, której my nie posiadamy (dużo przyjdzie o tym pisać), lecz na pewno posiadana przez wielu jest „pokostowana i lakierowana od wierzchu”. Lękałbym się podobnego sformułowania, jeśli ma ono wyrażać coś więcej, niż określenie stanu subiektywnego. To samo zastrzeżenie pobudziło we mnie twierdzenie, że ginie idea demokracji. Kto wie, czy w zamęcie tragicznych powikłań nie upraszczamy sobie zadania, uśmiercając wzorem tragedii Szekspira nie ludzi wprawdzie, lecz idee jedna po drugiej. Zwracam Twoją uwagę, że wśród wielu przewrotnych skłonności współczesnych umysłów jedną z nich i co charakterystyczne ujawniającą się najczęściej u ludzi, którzy skądinąd pragną odbudowy, jest pragnienie znalezienia się na cmentarzysku. Jak większość skłonności przewrotnych i to pragnienie bywa zazwyczaj starannie ukrywane, lecz nie raz i nie dwa można w sercu intelektualisty odkryć materiał na Tamerlana.

Wreszcie, żeby skończyć z drobiazgami,

choć źle to określam, bo każdy z tych drobiazgów rzutuje przed siebie rozległe i wiele ogarniające perspektywy. Zwolnij mnie zatem z określenia, a ja wyrzucę z siebie jeszcze jedną wątpliwość. Słusznie mówiąc o niedostatecznym obecnie wydźwięku i rezonansie humanitarnego jak powiadasz frazesu, piszesz, że „w tej walce zła z prawem moralnym w człowieku nie wynaleziono, jak dotychczas, wyrazów, które by potępiły czynienie krzywdy bliźniemu i brzmiały zarazem jak dźwięk trąb bojowych – nie wynaleziono przynajmniej od czasu, gdy umilkł żydowski Jehowa, mściwy i gniewny, a zastąpił go słaby i łagodny Chrystus”. Mój drogi, pod końcem tego zdania podpisałby się skwapliwie i Nietzsche i jego uczniowie z różnych parafii na Rosenbergu kończąc, któremu w „Micie XX wieku” podobne określenie Chrystusa posłużyło za oficjalny sąd reżimu hitlerowskiego. Nie wątpię, że ta zgodność jest jak najdalej od Twoich intencji. Mnie wy-



ANDRZEJEWSKI

W. MIEROWSKI

dała się albo przejęciem w zapale pisania, lub jeśli wynikała z namysłu – zbytnimi, powiedzmy, uproszczeniami. Nie czułbym się dobrze w skórze egzegety Ewangelii, więc jedynym moim kontrargumentem może być odesłanie Ciebie do samego źródła. Jeśli przy tej okazji zechciałbyś sięgnąć do Listów Pawła, a dalej ojców Kościoła, do św. Tomasza, do mistyków choćby hiszpańskich, wylądowując aż gdzieś na Newmanie r niemieckich i francuskich katolikach naszych dni, byłoby to myślę wystarczające, aby i samą postać Chrystusa i naukę z Ewangelii wynikającą uwolnić od ryczałtowego zarzutu łagodności i słabości. Jeśli zaś chodzi o doniosłość wyrazów walczących ze złem, myślę że na przestrzeni wieków

pojawiało się ich wiele i właśnie o dźwięku „trąb bojowych”, bo chyba nie inaczej wypadnie określić głos Bernarda z Clairvaux, Franciszka z Asyżu, Sawonaroli, czy Teresy z Ávila. Podobne głosy na pewno rozbrzmiewają i wśród naszych czasów, tylko być może nie zawsze je słyszymy, a kto wie, czy nawet usłyszane nie wydają się nam zbyt wątłe i anemiczne, jak gdyby nie na miarę zła, o którym piszesz. Lecz wielu spośród ludzi „dobrej woli” o jednym zapomina: podźwięk „trąb bojowych”, wysokość ich brzmienia i czystość ich tonu, czy mogą być usłyszane przez głuchych lub o słuchu przytępionym! W ich namiętym domaganium się nowego słowa nietrudno dostrzec niebezpieczeństwo. Nienasyconie towarzyszące ustawicznej świadomości: to jeszcze nie to, jeszcze nie to! Może równie dobrze płynąć z najlepszych tęsknot, jak z wewnętrznej zgody na wieczny bieg z przeszkodami, w którym zatracca się powoli cel biegu, celem zaś on sam się staje. Bardzo tu łatwo zatrzeć obraz prawdy obiektywnej, aby na jej miejsce postawić kształt własnego ja, poszukującego i nienasyconego. Czyż potrzebuję Ci, mój drogi, mówić, jak różne konsekwencje wynikają z dwóch podobnych postaw, na zewnątrz niewiele różniących się od siebie, lecz istotnie! I jeszcze jedno, może najważniejsze. Wydaje mi się, że mierzony skalą ludzkiego doświadczenia i przeżywania najpotężniejszy dźwięk „trąb bojowych” dobra nie dorówna natężeniu głosów zła. Zdaję sobie sprawę z mojej skłonności do efektywnych, choć nieraz łatwych uogólnień. Lecz właśnie tutaj uogólnienie narzuca mi się bardzo silnie i może nie trafić kulą w płot, gdy powiem, że na ogół zło nie domaga się od nas zbyt wiele, dobro natomiast żąda bardzo dużo. Litością, gniewem, nienawiścią, cierpieniem ostatecznie, możemy tak czy inaczej odpowiedzieć złu. Lecz te uczucia nie muszą nas przekształcać i nie domagają się zbyt natarczywie wysiłku z naszej strony. Po prostu są one w człowieku, albo ich nie ma. I jeden widząc zbrodniarza – zapłacze, drugi rzuci weń kamieniem. Całkiem za to inaczej rzecz się z nami ma, gdy dochodzi nas pogłos „trąb bojowych” dobra, cichszy czy głośniejszy, to naprawdę, mój drogi, nie ma takiego znaczenia. Sam piszesz o instancji „sensu etycznego”, którą odnajdujesz w starej kobiecie litującej się na ulicy nad dzieckiem żydowskim. Przyznasz, że to głos bardzo cichy i gdyby mu przeciwstawić zgiełk potworności, jakich widownią jest obmurowane ghetto (a przecież to tylko cząstka zbrodni tego świata), zabrzmiałby nikle od najniklejszego szepotu. A jednak! Więc może byśmy się zgodzili, że natężenie głosu nie jest tu najważniejsze i samotny głos owej kobiety może być usłyszany bardzo, bardzo donośnym. Lecz cóż usłyszeć! Czy nie sądzisz, że to trochę za mało i że na dobrą sprawę trzeba by tutaj czegoś więcej! O ile się nie mylę, a opieram się i na własnym doświadczeniu, krok, który podąża ku owemu „coś więcej” jest dosyć trudny, dalsze jeszcze trudniejsze i myślę, że im dalej – tym trudniej i ryzykowniej. Lecz wydaje się prawdopodobnym, że pogłos „trąb bojowych” słyszy się wówczas z każdym krokiem i lepiej i częściej.

Słusznie piszesz, że „sięgnięcie do prawa moralnego w człowieku wymaga... bliskiej łączności z doświadczeniem. Kto wie, czy nie docieramy tutaj do ośrodka zagadnienia, dokoła którego z niemałym zaniepokojeniem kołujemy, a które Ty wyraziłeś bardzo elastycznym uogólnieniem „być człowiekiem”. Ach, człowiek, człowiek! Domyślam się, że przy Twojej nieufości wobec „dobrych” słów i uczuć choć sam zawiesiłeś nad tym pojęciem „człowiek” patetyczny wykrzyknik, nie jesteś daleki od tropienia w tym akcencie frazesu. Rzeczywiście, może to być frazesem. Jest to jedno z tych stwierdzeń, któremu jak cień, jak echo, towarzyszy

Wróżenie z fusów

dołączenie ze s. 13

ne wydatki, ale nie daje swobody w przygotowaniu kolejnych przedstawień. Stąd mniejsza ilość nowych tytułów na afiszu, średnio co cztery miesiące premiera. „Prezentacje” nie mają stałego zespołu aktorskiego, jest to teatr oparty na gościnnych występach gwiazd i na pracy jednego reżysera. Mimo że aktorzy nie mogą się ostatnio pochwalić wysokimi zarobkami, a może właśnie dlatego, coraz trudniej namówić ich do współpracy mając w kasie skromne sumy. Przedsiębrane środki zaradcze to poszukiwanie pieniędzy u różnych fundacji, współpraca z firmami w zamian za reklamę (kostiumy do *Humoresek erotycznych* podarowa-

nia pensje żenująco niskie. W interesie grupy leży usamodzielnienie się i za tym idące możliwości wszczęcia pracy agencyjnej, powołania fundacji, itd. Do momentu wejścia w życie nowej ustawy, czyli do początku przyszłego roku, wszelkie oddolne zmiany są niemożliwe. Inicjatywa usamodzielnienia mogłaby wyjść od Wydziału Kultury, jest poparcie Ministerstwa, ale jak na razie brak dobrej woli na szczeblu miejskim.

Na tym tle enklawa spokoju mogłyby się wydawać sceny akademickie, gdyby ich bezpośredni mecenas – szkoły wyższe – sam nie miał kłopotów finansowych. Tak więc krakowski Teatr 38, teatr UJ, stracił swoje stare miejsce przy Rynku Głównym, na rzecz ZSP. Działa tu

przy Wojewódzkim Domu Kultury (i przezeń sponsorowany), już dawno zdobył sobie sympatię mieszkańców miasta, wyrażającą się także w bezinteresownych datkach pieniężnych. Sumami tymi obracają w tej chwili fachowcy z korporacji i fundacji.

W skrajnie odmiennym położeniu są sceny związane z Estradą, której los sam w sobie jest niewiadomy, a wspierane tylko przez Ministerstwo czy Wydział Kultury, co przy kłopotach tych instytucji mnoży problemy. Działalność gospodarcza leży tu poza możliwościami statutowymi. I tak na przykład, Teatr Adekwatny działa jakby z przyzwyczajenia i uporu Henryka Boukołowskiego i kilku jego przyjaciół. Wszelkie pieniądze od „mecenatów” przeznaczone są na pokrycie ostatnich utrzymywanych, a niezbędnych, etatów. Premierzy przygotowuje się ze środków własnych, czytaj prywatnych, i pochodzących od sporadycznie pozyskiwanych współpracowników (ostatnio Instytut Węgierski w Warszawie). Jest to więc w zasadzie praca społeczna.

Zupełnie inne ambicje ma poznańska Scena na Piętrze, teatr impresaryjny, z założenia opierający się na wielkich nazwiskach aktorów. Nie jest to, w odróżnieniu od Sceny „Prezentacje”, teatr autorski. Gwiazdy rzadko jednak okazują zainteresowanie skromnymi gażami tego rodzaju scen, a bezrobotny drugi i trzeci garnitur aktorów nie przyciągnie widzów i nie napelni kasy. Stąd spadek liczby premier, podwyżka cen biletów i mniejsza frekwencja na widowni.

Przykłady tych, czy innych paradoksów, problemów, śmieszności można jeszcze długo mnożyć. Ale w sytuacji, gdy informacja zaślizgana wczoraj, spisana dziś, a przeczytana jutro, nie ma nic wspólnego z nowym stanem faktycznym, wygodniej chyba zająć się wróżeniem z fusów.

Jedno wydaje się być pewne, Ministerstwo nie przyłoży ręki (pieniędzy) do imprez chybionych artystycznie. Zabezpieczyć to ma elastyczny system dotacji. Władze terenowe mogą okazywać więcej troski placówkom reprezentacyjnym, czy wyróżnianym przez szeroką publiczność, a z mniejszym wyczuciem podchodzić do inicjatyw ambitnych, elitarnych. To będzie zależało przede wszystkim od sił i środków lobby kulturalnego w danym samorządzie lokalnym. Resztę pola wypełni pomysłowość i gospodarność samych twórców kultury, ich operatywność w znajdowaniu sponsorów. W jakim stopniu tego rodzaju aktywność wpłynie na działalność artystyczną – nikt chyba nie jest dziś w stanie odpowiedzieć. Wachlarz możliwości jest szeroki, od niechęć do zwiększenia odpowiedzialności za swoje miejsce i sens pracy.

Optymizmem powinien napawać fakt, że dotychczas w teatrze nie zaznaczyło się silniej zjawisko komercjalizowania sztuki, ratowania się tanią sensacją czy pornografią. Krakowski teatr „Maszkaron”, odsunięty od ministerialnego budżetu działa na razie jak działał. Prywatny teatr „Meluzyna” z Trójmiasta przeniósł się podobno do Warszawy, ale o jego działalności w stolicy jeszcze nie słychać. Z Katowic docierają wiadomości o powołaniu przez aktorów Teatru im. S. Wyspiańskiego nocej scenki kabaretowej. Po jednym programie trudno wyrokować jaką postać przyjmie jej repertuar.

Produkcją szmiry trudnili się dotychczas w większości tak zwani artyści estrady. Bezrobocie wśród aktorów dramatycznych może spowodować wzrost zainteresowania trasami i objazdem. Zająć się tym na pewno powstające aktorskie agencje reklamowe i impresaryjne. O poziomie tych inicjatyw także trudno wyrokować.

W całej imaginowanej tu rzeczywistości brak jest organów, być może zupełnie komercyjnych, będących konkurencją dla systemu promocyjnego ministerstwa, które można nazwać choćby bankami kultury. Instytucje te oprócz wydawania pożyczek na dane przedsięwzięcie, zajmowały się także ściąganiem i zabezpieczaniem różnego rodzaju nadwyżek budżetowych i „wolnych” pieniędzy na swym terenie.

Tęskniąc za świeżym, teatralną kawą czekajmy tymczasem do Nowego Roku.

Maryla Zielińska

Teatr Niewyobrażony

W poszukiwaniu nowej formuły sensybilistycznego spektaklu

Otwarte Sympozjum Korespondencyjne i wystawa towarzysząca V Międzynarodowemu Triennale Rysunku we Wrocławiu w 1991 roku.

W XXXV rocznicę światowej premiery pierwszego sensybilistycznego spektaklu we Wrocławiu w 1956 roku Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych (PWSSP), Wrocław, plac Polski 3/4 oraz Torontoński Ośrodek Sztuki Współczesnej (TCCA), 155A Roncesvalles Avenue, Toronto, organizują wspólnie międzynarodowe korespondencyjne sympozjum sensybilistyczne.

Celem organizatorów jest podtrzymanie zaistniałych wartości jak również sprowokowanie do stworzenia i upowszechnienia takich form artystycznej wypowiedzi w istniejących i nie nazwanych jeszcze dziedzinach i formach sztuki, jakie wydają się nam w tym momencie niemożliwe, nie wyobrażone. Organizatorzy, twórcy pierwszych wrocławskich wydarzeń sensybilistycznych chcieliby uzyskać tą drogą nowe, oryginalne, niczym nie ograniczone propozycje teatru wyobraźni.

Zapraszamy do składania projektów, zostawiając uczestnikom całkowitą wolność środków wypowiedzi, zalecając tylko ograniczenia formatowe. Polecamy szczególnie uwadze twórców oszczędność języka *chiaro-scuro*.

W sympozjum mogą (powinni) brać udział artyści plastycy, pisarze i twórcy innych dyscyplin. Propozycje mogą być wyrażone w następujących mediach: tekst (do 10 stron pisma w językach uznanych przez ONZ), rysunek w formacie najwyżej 70 x 100 cm, fotografie, taśmy magnetofonowe filmowe i wideo, rejestracje elektro-akustyczne innego rodzaju oraz wynalazki własne. Prace należy przestać na adres: PWSSP, plac Polski 3/4, Wrocław z dopiskiem SYMPO'91 w terminie do dnia 31 stycznia 1991.

Nadesłane prace chcielibyśmy zatrzymać na własność. Prosimy więc o ofiarowanie ich Grupie Badań Ekspresji Teatralnych przy PWSSP, która podejmuje się zorganizowania wystawy, wydania publikacji i kontynuacji studiów nad sensybilizmem.

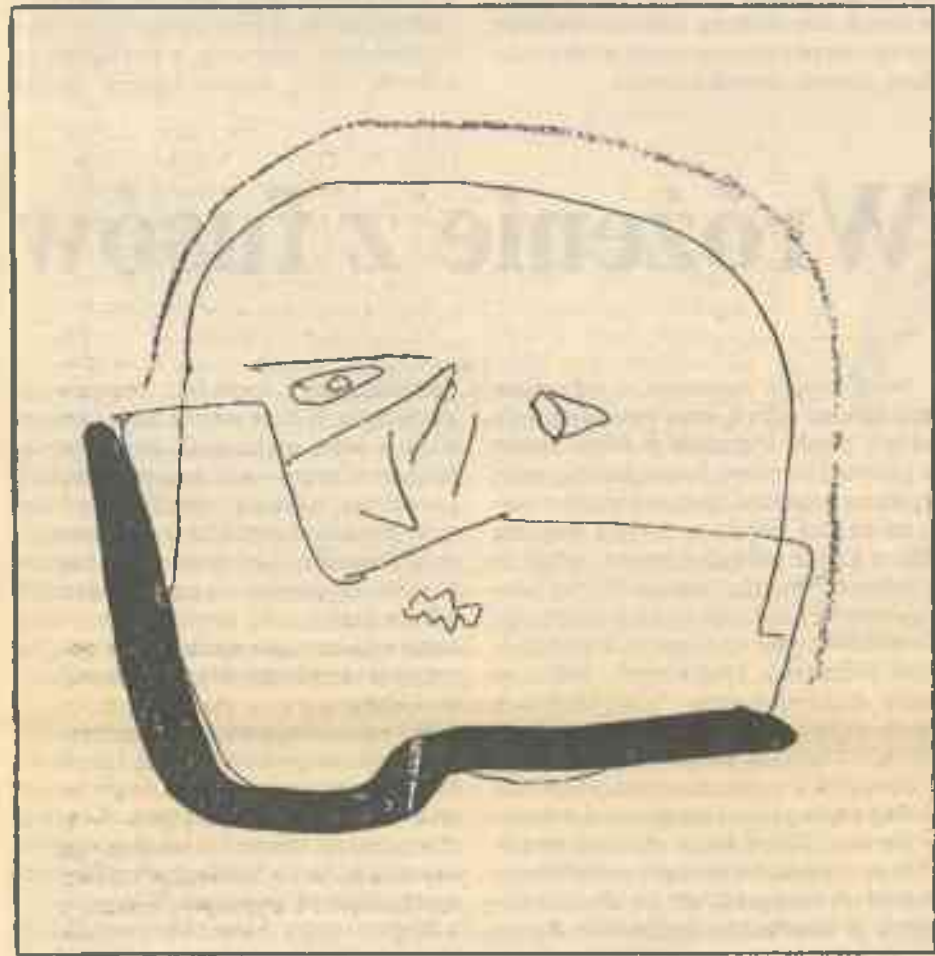
Po dokładnym zapoznaniu się z nadesłanymi pracami organizatorzy przyznają wybranym uczestnikom prestiżowe medale i nagrody.

Kazimierz Głaz,
Michał Jędrzejewski,

Toronto-Wrocław, 1990



MAREK SAPETTO



JERZY PANEK

wał Marc Pol). Mała scena, niewielkie środki, a więc i niezbyt szerokie możliwości reklamowania sponsorów. System reklamy w radio i telewizji jest zamknięty dla takich potrzeb. Dlatego też nieliczne tylko firmy zainteresowane są tego rodzaju współpracą, ich pomoc zakrawa raczej na filantropię. Podwyżki cen biletów, nawet przy tak znacznej popularności sceny, nie są w stanie załatać luki budżetowej. Teatr Szejda egzystując poza systemem ministerialnych kategorii liczy przede wszystkim na ustawę o odpisie majątkowym i na usprawnieniu możliwości reklamy w środkach masowego przekazu.

Sytuacja dyrektora „Prezentacji” jest o tyle prostsza, że sam ma na uwadze swój los i los kilku etatowych pracowników, natomiast Andrzej Sadowski i jego grupa, jako „etatowi” Klubu Środowiskowego Urzędu Dzielnicy miasta Krakowa, mogą być w każdej chwili zwolnieni z pracy w ramach atestacji stanowisk. Proces zresztą już trwa. Pracodawca nie jest w stanie finansować pracy ośrodka, a teatr nie jest w stanie zarobić na swoje utrzymanie.

„Mandala” tkwiąc w strukturze Urzędu, nie ma własnej księgowości i finansów. Wszelkie wpływy idą na konto władz zwierzchnich i tam są rozdysponowywane na różne cele, które wytyczają zakres pracy Wydziału Kultury i Klubu Środowiskowego. A więc popularność, sukcesy „Mandali” nie mają żadnego realnego związku z kondycją materialną teatru. Sytuacja wygląda paradoksalnie, zespół Sadowskiego reprezentuje oficjalnie kulturę polską za granicą, a w kraju Wydział Kultury zwalnia część aktorów, pozostawiając zaś zapew-

teraz Teatr Sytuacji, nie mający nic wspólnego ze studentami uniwersytetu.

Większe szczęście ma Scena Plastyczna KUL, której nikt nie stwarza kłopotów lokalowych, a finansowe stały się nieodzownym czynnikiem działalności grupy Leszka Mądziaka. Stała dotacja płynie tylko z uniwersytetu, resztę potrzeb łatają wpływy z wyjazdów gościnnych (tylko za całkowitym pokryciem kosztów występu). Najlepszym wyjściem wydaje się powołanie fundacji, która mogłaby przyjmować i zagospodarowywać pieniądze z kas państwowych i prywatnych.

Podobna pod tym względem jest sytuacja Teatru Ekspresji z Gdyni. Ministerstwo jest chętne do sponsorowania tej sceny, mając na uwadze jej osiągnięcia artystyczne, brak jest jednak podstaw prawnych umożliwiających przekazanie takich pieniędzy. Jak wszystkie tego rodzaju sceny i ta jest poza systemem stałych dotacji, może liczyć jedynie na fundusz promocyjny i powołanie przy teatrze fundacji.

Choć zarysowany tu obraz wydaje się sprzeczny z hasłem: „dostosowujemy strukturę dotacji finansowych Ministerstwa do zastanej struktury organizacyjnej teatrów a nie odwrotnie”, to jednak wprowadzone rozwiązanie (fundacja, jako ciało uprawnione do przyjmowania pieniędzy i korporacja, jako organ obracający nimi) sprawdzi się w życiu. Przykładem krakowski Teatr STU, czy szczeciński Teatr Krypta, któremu w dobie kryzysu, udało się rozszerzyć działalność, poprzez powołanie sceny kabaretowej. Lekka muza nie służy tu tylko wyciąganiu od ludzi pieniędzy i utrzymaniu sceny dramatycznej. Teatr działający

recenzje

GEORGE BUSH, *Patrząc w przyszłość*, Wydawnictwo „Topos”, Gdańsk 1990

George, w swej autobiografii powołuje się tylko na jedną książkę – *Biblię*. Na trzystu stronach jego wspomnień nie pojawia się nazwisko ani jednego pisarza, malarza czy filozofa. Ani razu nie wspomina o swej wizycie w kinie, czy broń

Ten najlepszy

Boże, w teatrze. Wymienia jeden znany sobie serial – *Dallas*. Ocenia go zresztą nader krytycznie. George pisze o jedynym znanym sobie muzyku – Glennie Millerze (tańcząc w rytm jego melodii poznał swą przyszłą żonę). George interesuje się historią. Zarówno starożytną – Deklaracją Niepodległości, wojną secesyjną, jak i nowszą – wielkim kryzysem, prohibicją czy New Dealem. George zwiedził cały świat. Od Kalifornii do Wielkich Jezior i od Florydy do Alaski. Wie też o istnieniu za Wielką wodą innych krajów – Chin, Iranu, Japonii i Sowieców.

Czterdziesty pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych – Georg Bush (bo o nim oczywiście mowa) pisał swą autobiografię w momencie bardzo szczególnym. Powstała ona i została opublikowana w 1987 roku – na rok przed wyborami, które, co może warto przypomnieć wygrał. Książka *Patrząc w przyszłość* ma w założeniu autora zaprezentować go jako kandydata na prezydenta. Nie stawia sobie jej autor i bohater innych celów.

Patrząc w przyszłość jest elementem kampanii wyborczej ówczesnego wiceprezydenta. Ma przekonać doń i do jego programu najszerze masy wyborców. Dlatego przedstawiony w niej obraz świata musi przylegać do wyobrażeń zupełnie

przeciętnego Amerykanina. A nawet tego mniej niż przeciętnego. Dla czytelnika europejskiego ten świat jest nieco szokujący – ale też czytelnik europejski nie uczestniczy w amerykańskich wyborach. Pozostaje mu usiąść cichutko w kącie i posłuchać jak należy się przedstawić, by zostać przywódcą ostatniego mocarstwa.

Po pierwsze, należy powiedzieć – „Jestem jednym z Was!”. „Tak jak wy lubię kurczaka i frytki, piwo i futbol”. Bush był robotnikiem (choć nie musiał nim być), studentem, żołnierzem ochotnikiem, graczem w baseball, przedsiębiorcą. Później

jako polityk również służył Ameryce najlepiej jak potrafił.

Po wtóre, Bush wcielił w życie dewizę znaną wszystkim klientom kantorów – „E Pluribus Unum”. Jak widać jest biały, lecz jego syn ożenił się z Latynoską. Jego pieniądze leżą w banku, którego właścicielami są Murzyni. Jego rodzice pochodzą ze środkowego Zachodu, on sam urodził się na Wschodnim Wybrzeżu, lecz dorosłe życie spędził w Teksasie. (Jest więc pierwszym w dziejach republikańskim – teksańczykiem!).

Po trzecie, jest twardy, ambitny, wytrwały i, co ważne, z biegiem czasu coraz lepszy, mądrzejszy.

O tym wszystkim nie można, rzecz jasna napisać wprost. Jednak po przeczytaniu rozdziału poświęconego baseballowi nikt nie może mieć w tej materii choćby cienia wątpliwości. Nawet ten, kto – jak piszący te słowa – miał trudności z opanowaniem reguł gry w palanta.

Wreszcie Bush jest zarówno dobrym szefem, lojalnym partnerem i podwładnym. Mimo młodego wieku dawał sobie radę jako dowódca samolotu, później jako szef, z początku mikroskopijnej, potem coraz większej i większej spółki naftowej. W końcu, o czym wspomina raczej mimochodem, był również przewodniczącym partii republikańskiej i epizodycznie CIA.

Oczywiście portret psychologiczny Georgea Busha nie jest w tej książce rzeczą najważniejszą.

Kapitałe znaczenie dla polskiego czytelnika ma fakt, że oto po raz pierwszy otrzymujemy obraz polityki amerykańskiej, obraz nie stworzony przez prof. Pastusiaka czy nawet przez hollywoodzkich kontestatorów. Trzeba przyznać, że obraz ten ma wszelkie znamiona sensacji. W tej książce Bush ujawnia, że uprawianie polityki jest ciężką pracą. Nie ma mowy o tańcach Kissingera z Nixonem w czasie libacji w Camp David. Nie dowiadujemy się, że cała kariera aktorska Reagana jest kitem a w rzeczywistości przed kamerą występował przebrany Graucho Marx. Dowiadujemy się natomiast, jak to się stało, że po latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy także w Ameryce przepowiadano rychły upadek Stanów Zjednoczonych, nadeszły lata osiemdziesiąte, w których Ameryka wróciła na swoje miejsce. Stała się znów niekwestionowanym liderem wolnego świata i praktycznie jedynym supermocarstwem. Pisze Bush o ogromnej pracy, jaką wykonano, by kraj w którym do przywódców strzelano jak do kaczek stał się na powrót nadzieją dla milionów. Także dla tych, którzy, jak wietnamscy chłopcy, jeszcze kilkanaście lat temu z nim walczyli.

Zdumiewiający jest wreszcie, wylaniający się z książki Busha obraz kampanii prezydenckiej. (Amerykańskiej oczywiście). Autor pisze o swych ewentualnych rywalach z partii demokratycznej – E. Kennedym, G. Harcie i W. Mondale'u (nie wymienia jednak tego, z którym ostatecznie przyszło mu się zmierzyć – Dukakisa). Oczywiście nie robi im reklamy. Chce dowiedzieć, że jest lepszy, choć, na zdrowy rozum, łatwiej dowiódłby tego, że oni są gorsi. Używa wyłącznie racji, nigdy nie płami się atakiem osobistym. W tym wyścigu stawka jest najwyższa na świecie obieralne stanowisko. Mimo to walka jest czysta. Bush gra fair. Nie tylko dlatego, że jest dżentelmenem. Georg Bush wie, że nic tak nie szkodzi demokracji i wolności, jak wszelkiego rodzaju brudne gierki, demagogia, ataki personalne – słowem chamstwo. Nawet demokracji tak okrzepłej jak amerykańska.

Wojciech Tomczyk

Przeszczepy

„Zeszyty Literackie” nr 29, 30, 31, wyd. krajowe, „Agora”, Warszawa 1990

„Zeszyty Literackie” (1983-1989, 28 numerów). Wybór Piotr Kłoczowski, Res Publica, Warszawa 1990.

W czym tkwi specyfika „Zeszytów Literackich”? Co sprawia, że ten kwartalnik, wydawany od roku 1983 w Paryżu przez garstkę przyjaciół pod energiczną ręką Barbary Toruńczyk zdobył sobie wśród wielu opinii najlepszego polskiego pisma literackiego?

Niektórzy zarzucają temu pismu elitarność. Innych drażni dość zamknięty krąg współpracowników oraz fakt, że członkowie redakcji i autorzy z pismem bliżej związani wciąż piszą o sobie nawzajem, z reguły pochwalnie. – Miłosz pisze o Brodskim, Brodski o Barańczaku, a Barańczak o Miłoszu albo na odwrót. Z pierwszego nie czyniłbym zarzutu. Pisma elitarne są też potrzebne, choćby po to, żeby wyznaczać pewien poziom, żeby wciąż na nowo definiować literackie i artystyczne hierarchie. A że piszą często o sobie nawzajem? Cóż, przecież to nie są debiutanci, którzy muszą się wspierać. Daj Boże każdemu pismu takich stałych współpracowników, z dwoma laureatami

Nagrody Nobla, a nie wiadomo, co jeszcze przyszłość przyniesie. Poza tym wytykając „Zeszytom Literackim” obracanie się w zamkniętym kręgu zapomina się o drugiej stronie medalu, o tych młodych poetach i eseistach, często z małych miast, którzy wybrali paryskie pismo na miejsce swego debiutu i którzy są przez nie drukowani. Spójrzmy tylko na biografii współautorów zeszytu 29. Marzena Broda, ur. 1966 w Krakowie. Bogusław Deptuła, ur. 1965 w Warszawie. Piotr D. Siemion, ur. 1960 we Wrocławiu. Mirosław Tarasewicz, ur. 1960 w Węgorzewie (zm. 1983). A obok nich inni, wielcy. Józef Czapski, ur. 1896 w Pradze. Czesław Miłosz, ur. 1911 na Litwie. Jerzy Stempowski, ur. 1894 w Krakowie.

Kiedy parę miesięcy temu w różnych pismach ukazywały się omówienia „Zeszytów Literackich”, pomyślane jako publikacje towarzyszące narodzinom krajowego przeszczytu pisma, byłem sceptyczny. Przewidywałem, że albo papier nie będzie taki jak trzeba, albo okładka, albo nie uda się dotrzymać obiecanego terminu. W Paryżu tymczasem zdążył się ukazać zeszyt 30, w lipcu wyszedł 31, a krajowej „dwudziestki dziewiątki” wciąż nie było. W końcu jednak jest i z przyjemnością stwierdzam, że jakością (ani zawartością) nie odbiega od pierwotnego wzoru. W dodatku zaraz po numerze 29

przyszli 30 oraz 31 i Warszawa dogoniła Paryż.

W charakterze wizytówki zeszytu 29 (i pisma) dwa zdania: „Ciągłość pamięci wydaje się główną przeszkodą stojącą na drodze wszystkim próbom przerobienia ludzi na termity lub pszczoły” (z listu Stempowskiego); „W czasie który minął pęczniejże ziarno, korzeń rozrywa łono ziemi, opadają żółkną koperty żalu, ciągle trwa nieodbyta podróż do Grecji” (z wiersza Tarasewicza).

Dla tych zaś, którzy dotąd do „Zeszytów Literackich” dostępu nie mieli, Piotr Kłoczowski przygotował wybór z pierwszych czterech roczników (nr 1-28, lata 1983-89), wydany jako numer specjalny „Res Publici”. Wybór z pisma, które rządzi się surową zasadą wyboru nie był rzeczą łatwą, toteż nie posunę się do tego, żeby powiedzieć, które z podwójnie wybranych pozycji uważam za najcenniejsze. Jak napisał w krótkiej przedmowie Marcin Król, jest to „tom, którego autorami są nasi przyjaciele, z którymi rozpoczynaliśmy przed laty wydawanie „Res Publici”, inni bliscy nam ludzie z tego samego pokolenia, wreszcie my sami.” Sygnalizuję pojawienie się tego zeszytu, który ma format, papier i czcionkę jak „Res Publica”, a układ i treść jak „Zeszyty Literackie”. Mariaż, który pachnie kazirodztwem?

Jan Zieliński

Więc żadnych nie ma duchów?

PETER HAINING, *Leksykon duchów*. Przełożyli Tomasz Wyżyński i Krzysztof Zarzecki, wstęp do polskiego wydania *Leksykonu* i hasła dotyczące duchów pojawiających się w Polsce, mediów i miejsc nawiedzanych napisała Bogna Wernichowska. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1990

Jednym z najśłynniejszych duchów jest daimonion Sokratesa, ostrzegający go przed popełnieniem nierozważnego czynu. Niestety, tego dobrego sokratejskiego ducha twórcą *Leksykonu* zabrakło. Hasła na literę D miały zaczynać się od duppy. Bogna Wernichowska przytomnie dorzuciła Damę z sokolnikiem.

Nikt jeszcze nie dowiódł, że duchy istnieją naprawdę – może teren nauk pozytywnych nie jest najlepszym miejscem do przeprowadzania takich dowodów. Stąd nieustannie demaskowanie kolejnych „łowców duchów” (hasło istniejące w leksykonie), wyruszających na polowania z najlepszym w danym czasie technicznym ekwipunkiem. Duchy istnieją bowiem przede wszystkim jako fenomen kultury: o ileż uboższa byłaby nasza współczesna humanistyka bez antropozofii Rudolfa Steinera bądź psychologicznych rewelacji Carla Gustawa Junga, którzy twierdzą, że rzeczywiście obcowali z duchami.

Brak pytania jak należy traktować duchy coła nas do czasów „Romantyczności” Mickiewicza. Jest to zderzenie sceptycznego „szkiełka i oka” z monotonna na ogół, powtarzalną fabułą. Łatwo mogą sobie wyobrazić w *Leksykonie* hasło następujące: „KARUSIA. Nieszczęśliwa dziewczyna, obcująca jakoby w biały dzień na małomiasteczkowym rynku z duchem zmarłego kochanka. Zdarzenie, opisane przez Adama Mickiewicza w balladzie „Romantyczność”, posłużyło mu za pretekst do polemiki z oświeceniowym racjonalizmem negującym istnienie zjawisk nadprzyrodzonych.” Hasła leksykonu utrzymane są bowiem w podobnej poetyce.

Duchy należy traktować poważnie, co wcale nie znaczy, że za pomocą szkiełka i oka, kamery fotograficznej i laserowej broni. Inaczej, zbudowane z ulotnej materii, zapadają się w nicosć, a swoich nieustraszonych pogromców zamykają w śmiesznym getcie starszych pań, które pozmywawszy po kolacji zasiadają do wirującego stolika i spodka. To także fenomen kultury: dlaczego w XIX wieku stoliki zaczęły wirować? I dlaczego, choć wirują nadal, tak szybko przemieściły się z salonu do służbówek?

Choć niekiedy zdarza im się jeszcze wirować w salonie. Może najbardziej niezwykłym osiągnięciem dwudziestowiecznej sztuki poetyckiej jest trylogia Jamesa Merilla *The Changing Light and Sandover*, dzieło podyktowane przez duchy w czasie seansów spirytystycznych. O poezji Merilla w tłumaczeniach Stanisława Barańczaka (książkę wydały parę miesięcy temu „Zeszyty Literackie”) napiszemy niebawem osobno. Przy kontaktach ze światem nadzmysłowym ważniejsze od duchów jest bowiem medium.

Przerzucając *Leksykon duchów* zastanawiałem się, czy duchy są pozbawione poczucia humoru. Pewnie ich nieszczęściem jest to, że Peter Haining jest go pozbawiony, dlatego nie chciałbym być na jego miejscu po śmierci. Samej książce natomiast wróże powodzenie. Wydawnictwo może zatem przygotowywać następny przewodnik encyklopedyczny: na przykład *Indeks przypadków wyleczonych przez Kaszpirowskiego* – skrzyżowanie książki telefonicznej z dziełem nekrologów w jakiejkolwiek gazecie.

Tadeusz Komendant

pocztą

Pan Radek K. – dziękujemy za przesłane opowiadanie. Niestety, wydaje nam się ono dość „mętne”, przesłanie artystyczne i intelektualne – słabe. Nie widzimy w tej chwili możliwości publikacji w TL.

G.M.

Pan Artur B.-Sz. ze Słupska – dziękujemy za przesłane opowiadania. Niestety nie wybraliśmy spośród nich niczego, co Zespół uznałby za materiał dla TL. Pańskie teksty są jeszcze „surowe”, dopiero należałoby je zacząć literacko opracowywać, żeby z felietonowych obrazków stały się opowiadaniem. Zachęcamy do pracy, jest w nich „coś” obiecującego.

G.M.

Pani Justyna Z. – dziękujemy za przesłane opowiadanie. Najciekawsze wydaje się nam we fragmentach „majających” – wtedy pokazuje Pani jakiś pisarski pazur. Całość jednak jest trochę zbyt rozwlekła, zbyt stylizowana. Zespół jest zgodny, że z drukiem w TL chyba się jeszcze wstrzymamy.

G.M.

RADIO SOLIDARNOŚĆ UKF 73,2 MHz

- stacja warszawska
- program 24 godziny na dobę
- telefon do studia: 635-88-88
- Biuro Reklamy i Ogłoszeń: ul. Konwiktorska 7, 00-216 Warszawa telefon: 635-80-36, 635-92-93

Sprostowanie sprostowania...

W sprostowaniu zamieszczonym w nr. 7 „TL” błędnie wydrukowano imię tłumaczki eseju Octavio Paza „Meksyk i Stany Zjednoczone”. Najmocniej przepraszamy panią Elżbietę Komarnicką oraz Czytelników.

Redakcja

Alexandre Jardin jest bardzo ładnym chłopcem i nie ma jeszcze trzydziestki. W marcu tego roku opublikował trzecią powieść pod tytułem *Fanfan*, robiąc karierę i wielkie pieniądze. Większość paryskich księgarń już w lutym zamawiała u Flammariona w ciemno sterty egzemplarzy. Na szczęście dla wszystkich starczyło, bo firma drukarska Cameron działała szybko, a telefony sprawnie.

Czyhali nie tylko księgarze. Od stycznia biuro prasowe wydawnictwa Flammarion oblegali żurnaliści, chcąc przeprowadzić z pisarzem wywiady, zapraszać go do dyskusji o młodości i starości, o kobietach i transwestrytach, projektowaniu wnętrza, sytuacji w krajach Europy Wschodniej i AIDS (po francusku SIDA), o wojnie i pokoju, nauce współczesnej i seksuologii ogólnej, o modzie i pogodzie czyli polityce francuskiej, i tak dalej. Warto zwrócić uwagę, że dziennikarze – co to znaczy prawdziwe zawód – nie zapraszali pisarza do dyskusji o literaturze.

Jardin dbał o swój ogródek. Słychać go było w radiu, widać w prasie i przede wszystkim w telewizji. Na ogromnej fotografii w tygodniku „Le Figaro Madame”, ulubionym przez panie „BCBG” (czyli: *bon chic, bon genre*), Alexandre Jardin uśmiechał się zalotnie, ale nie poufale, pomiędzy reklamą kremu na zmarszczki firmy Vichy tak skutecznie ściągającego skórę, że każdy ruch pośladek powoduje mimowolne opadanie powiek, a przepisem na kawior po sułtańsku.

Potrafił się zachować: krytyczny, ale nie agresywny, bez krawata, ale w swetrze od Yves Saint-Laurenta, odważnie nieśmiały, skromnie rozpieszczony, pracowicie rozczochrany, młodo dojrzały, ciężko przystojny. Mówił głębokie banały, jak trzeba.

Sukces ogromny. Pierwsza powieść Alexandra Jardina *Bille en tête*, opublikowana u Gallimarda we wrześniu 1986, poszła w 75 000 egzemplarzy w tak zwanej „białej serii” oraz w 108 000 egzemplarzy w kieszonkowej kolekcji „Folio”, w której ukazała się we wrześniu 1989. Druga powieść *Le Zebre* (również u Gallimarda, Prix Femina 1988) rozeszła się w 359 000 egzemplarzy w „białej serii”, do czego należy dorzucić ze sto tysięcy egzemplarzy sprzedanych korespondencyjnie przez różne kluby, na przykład *France Loisirs*. Do dnia 15 sierpnia, a więc w ciągu pięciu miesięcy, trzecia powieść – wspomniany *Fanfan*, rozeszła się w 210 000 egzemplarzy w obiegu „normalnym” oraz 115 000 egzemplarzy w sieci klubowej, czyli przez księgarnie wysyłkowe, operujące cenami hurtowymi ze zmniejszonym podatkiem obrotowym.

Pierre Gastéde, jeden z *attachés de presse* Alexandra Jardina powiedział dziennikarce „Le Monde”, że pierwsza powieść rozchodziła się stabiutko aż do czasu, kiedy Jardin wystąpił w regionalnym programie telewizyjnym w Tuluzie. Program popołudniowy, oglądany przez babcię i pannice. Rozdzwonił się telefon do studia, wszyscy chcieli porozmawiać z młodym intelektualistą, który taki młody, a tyle wie i jeszcze pisze powieści. Kilka tygodni później, na kierunku książki w miejscowości Brive-la-Gaillarde (miasto wielkości Kutna w regionie Dordogne, w połowie drogi między Bordeaux i Clermont-Ferrand), Alexandra Jardin oblegali tłumy.

Na tegorocznym paryskim salonie książki do stoiska Flammariona dopchać się nie było można (oczywiście tylko wtedy, gdy za stołem siedział autor *Fanfana*). Pannice cisnęły się z piskiem nie po to, żeby kupić jego

powieść, nie po to nawet, żeby zdobyć autograf, lecz po to, żeby go zobaczyć, bo był *vu à la télé*. W telewizji pokazali. Telewizja zrobiła z niego gwiazdę. Telewizja może zrobić wszystko. Dosłownie wszystko. Nawet literaturę przez ekran. Tylko telewizji można zaufać. Nikt nie cieszy się większym autorytetem niż telewizja. To co pokazane jest prawdziwe, ponieważ jest skuteczne.

Zapomniałem powiedzieć o czym są powieści Alexandra Jardin. Tak jak ostatnia

autor *Fanfana* to jest taki sprytny młody, co to lubi podobać się starym, bo jest miły i dobrze ułożony, nie tak jak dzisiejsza młodzież: „jak każdy antysemita ma swego dobrego Żyda, tak każdy stary grzesznego młodego”. Przypuszczam, że Alexandre Jardin zajdzie wysoko.

Są większe zmartwienia. Z wszystkich księgarń trzeba było wycofać najnowsze wydanie *Małego Larousse'a*. Na stronie 203 znalazł się okropny błąd. Przetawili się

artykuł niepolityczny

Fanfan i trujący Larousse

powieść Kundery, właściwie o niczym, i tak jak *Nieśmiertelność* sprzedaje się doskonale, szczególnie wśród pań i starszych pań, bo – jak wiadomo – Kundera też jest przystojny.

Jardin uprawia sztukę podchwytliwą: w dobie wszelkich erotycznych rozpasan,

kolorowe pastylki i muchomor sromotnikowy występuje jako grzybek nie tylko jadalny, ale nawet pyszny. Dyrekcja wydawnictwa doszła do wniosku, że grzybiarze przechadzają się po lesie w poszukiwaniu kurek obowiązkowo z Larousse'em w dłoniach, więc zwykła errata nie wystarczy. Koszt



JAN DOBKOWSKI

przemocy oraz wolnych związków w dowolnych układach płciowych, chwali małżeństwo, cnotę, romantyczne uczucia. Ogród sentymentalny, coś jakby Karpiński (Franciszek) rozmyty Asnykiem. Mędrkowały infantylizm plus telewizja zapewni ci świetlaną przyszłość.

Francuzi uwielbiają badania opinii publicznej. Stowarzyszenie SOFRES i „Le Monde” sprawdziło, kto czyta Jardina: głównie osoby poniżej 23 lat i powyżej 60; przeważnie kobiety, chętniej w miejscowościach liczących do 30 000 mieszkańców, niż w Paryżu lub w większych miastach.

Patrick Modiano doszedł do wniosku, że

operacji: 30 milionów franków. Na 300 000 wydrukowanych egzemplarzy do księgarń we Francji, Belgii, Szwajcarii i Kanadzie trafiło już 180 000. Wszystko trzeba załatwić (łącznie z drukiem i oprawą) przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego (został tydzień). Osoby, które już *Larousse'a* kupiły, proszone są o bezzwłoczny zwrot książki. Dostaną nowy egzemplarz. Koszt przesyłki pokrywa wydawca. Gdybym kupił trujący, to bym go nie oddał.

Krzysztof Rutkowski

Paryż, 26 sierpnia 1990

TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

AREOPAG: Jan Błoński, Gustaw Herliug-Grudziński, Artur Międzyrzecki, Ryszard Przybyłki, Jan Józef Szczepański.
ZESPÓŁ: Maria Bratkowska, Waldemar Cholewicki, Melania Dzieduszycka, Waldemar Gasper (zastępca redaktora naczelnego), Rafał Grubiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kaliński, Marek Karpiński, Tadeusz Komendant, Jacek Królak, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Jacek Łukasiewicz, Janusz Maciejewski (redaktor naczelnego), Łukasz Małachowski (sekretarz redakcji), Piotr Matywiecki, Grzegorz Musiał, Agnieszka Piwowarska, Paweł Rodak, Iwona Smolka (zastępca redaktora naczelnego), Piotr Sommer, Jan Stachowski, Marian Stala, Robert Tekieli (zastępca redaktora naczelnego), Wojciech Tomczyk, Małgorzata Wierzbicka, Wanda Zwinnogrodzka.
WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bieńczyk, Krystyna Chotoniowska, Agnieszka Dybek, Grzegorz Filip, Tomasz Jastrun, Krzysztof Kochler, Małgorzata Pruszecka, Marta Makowiecka, Piotr Miltner, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Brygida Pütz, Małgorzata Pruszecka, Bożena Szymula, Jacek Rujna, Krzysztof Rutkowski, Konrad Tatarowski.
Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnog.
Redaktor graficzny: Donat Chruściński. Koryktka: Krystyna Okólniewska, Wojciech Sempka.
Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO.
Skład: „Priónt”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZO „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.
Materiałów nie zamówionych redakcja nie odpowiada.
Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Włocza 1/21, tel.: 21212-79

